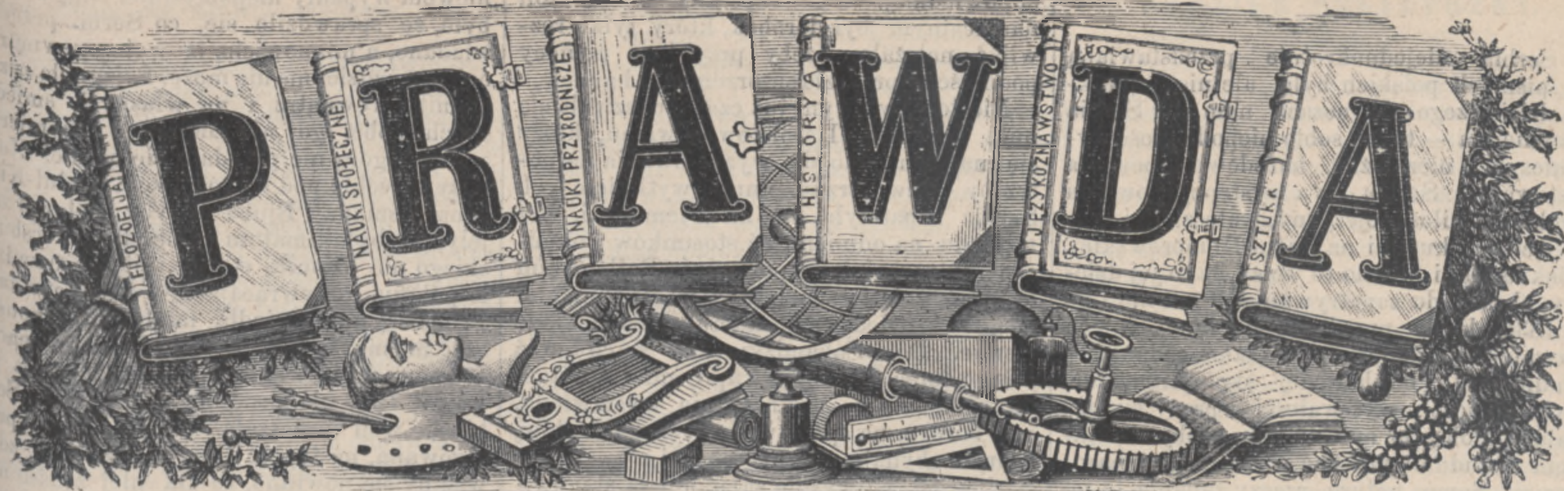
№ 31. Warszawa, dnia 30 (18) Lipca 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BEZMYŚLNE WIDOWISKO.

Korespondent *Timesa*, który miał sposobność rozmawiać z królem Milanem i deputacyą bułgarską, wracającą od ks. Koburskiego, pierwszy rozwiał złudzenia co do tego kandydata i oświadczył, że widowisko w Ebenthalu można uważać za ostatni akt tragikomedyi p. t. *Ferdynand I.* Dalszy ciąg tego widowiska udaremniła nietylko Rosya ponowną odmową zgody na jakikolwiek czyn obecnego „sobrania," ale sam przyszły władca bułgarski, który pomimo kilkomiesięcznej edukacyi dyplomatycznej i językowej, pomimo długich układów, dających mu czas do namysłu i wytworzenia sobie planu, pomimo pewności oporu ze strony Rosyi, nie wykreślił sobie jasnej drogi, zaczął młynkować, wskakiwać obiema dostojnemi nogami to na grunt lojalizmu, to na pochyłość walki i ostatecznie nikogo nie zadowolnił a szybko swą nieprzydatność dla zagrożonego tronu wykazał. Dosadniej od korespondenta *Timesa* uwydatnił to redaktor *N. Pester Journal* w opisie rozmowy swojej z deputacyą. Rozmowa ta jest niezmiernie charakterystyczną i pouczającą.

— „Po tem wszystkiem — rzekł Stojanow — co poprzedziło wybór, po zapewnieniach, jakie nam dał książe, zanim rozpoczęliśmy dlań agitacyę w Bułgaryi, przypuszczaliśmy, że on przyjmie tron bez zastrzeżeń i warunków. Tymczasem oświadczył, że przyjęcie wyboru czyni zależnem od pewnych warunków, o których podczas długich układów między nim i jego rodziną a rządem naszym wcale nie było mowy. Nie odgadujemy celu zdurzenia, którego padliśmy ofiarą, ale to wiemy, że książe owego ukrytego celu nie osiągnie, gdyż Bułgarya po nowych nieprzyjemnych doświadczeniach zrozumiała, czego ma się trzymać... Liczy ona wielu zwolenników republikańskiej formy rządu, którzy rozwiną działalność, jeśli Koburg odmówi... A zarówno ja, jak i moi towarzysze, jesteśmy przekonani, że on nigdy nie przybędzie do Bułgaryi. Udzielone mu z zewnątrz poparcie było tylko zabawką z nami..."

— Co pan myślisz o księciu Ferdynandzie? — zapytał redaktor majora Wiznarowa.

Ten spojrzał na niego smutnie, wyjął z kieszeni złotą tabakierkę z emaliowanym portretem Aleksandra Battenberga, którą otrzymał po bitwie pod Śliwnicą i rzekł:

— Lubisz pan tytoń bułgarski? Spróbuj tego papierosa.

Sprawozdawca zwrócił się do turka, trzeciego członka deputacyi, z temże pytaniem.

— „Widzieliśmy—odparł Mehmed Ruszdi — wiele pięknych rzeczy, przejeżdżaliśmy przez rozległe kraje, gościliśmy we wspaniałych miastach; pomimo to nie sądzę, ażeby młody książe był naszym władcą."

W tych wyznaniach mniej lub więcej ostrożnych, mamy cały obraz położenia politycznego. Ks. Koburg inaczej mówił po cichu, a inaczej głośno, wysunął na plan pierwszy „warunki," które przedtem lekceważył, skutkiem tego oblał bułgarów zimną wodą, a ponieważ Rosya nie zatwierdziła wyboru, można go więc uważać za „zalatwiony." Dziś już niema siły, którahy porucznika węgierskiego na tron pchała, a jest kilka, które mu drogę przegradzają. Prawdopodobnie zatem nie uszczknie on nawet sobie „miłych wspomnień," których duży bukiet wywiózł Battenberg.

Wszystkim nastręcza się nierozwiązalna zagadka: ponieważ opór Rosyi był niewątpliwym, ponieważ układy z kandydatem odbywały się z wiedzą mocarstw traktatowych, jaki cel mieli dyplomaci w zachęcaniu regencyi do tego wyboru a ks. Ferdynand w przyjęciu go? Doprawdy niepodobna inaczej tego wytłomaczyć, tylko słowami Stojanowa: Bułgarya była zabawką. Tak niedołężnego, lekkomyślnego, a raczej bezmyślnego czynu dyplomacya europejska mogła była sobie i innym oszczędzić. Bo nie jest on już grą nieszczęśliwą, ale dziecinną. Po co były wszystkie szepty, tajemne umowy, puste słowa, zawodne obietnice? Po co łudzono naiwnych, mącono zamęt i plątano plątaninę? Czy na to, ażeby zniecierpliwionych pozbawić resztki krwi zimnej? Zaiste nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby bułgarowie zrobili teraz jakiś krok ryzykowny, szalony, a nawet, gdyby przeważyły między nimi żywioły, które dotąd były tłumione. Tylko zdumiewać się należy, iż ten naród prosty, politycznie niedojrzały a ciągle kuszony wytrwał tak długo w jakimkolwiek ładzie i rządzie. Anioł śród tylu szatanów straciłby swą czystość.

Intrygi wiją się pasmem ukrytem, nie możemy więc dokładnie określić, kto uscenizował farsę z Koburgiem; ale nie omylimy się chyba w domyśle, że uczestniczyły głównie Anglia i Austrya, dwa państwa, które ludom słowiańskim nieraz już wyświadczyły fatalną usługę, namawiając je do awantur i opuszczając w chwili stanowczej. Ta szachrajska i obłudna polityka, której owoce i nas truły, powinna by raz stracić swój kredyt na oszustwie oparty i uledz zdemaskowaniu. Nie przyrzekajcie niczego — zasłużycie tylko na miano egoistów, ale nie zawodźcie, bo krew niewinna i nieszczęścia obciążą sumienie wasze. Sumienie? Ach, biedny ten wyraz błąka się jeszcze, pomimo że ze słownika politycznego kazano go *ausrotten*. Chyba już o tem przekonali się bułgarowie po lekcyi, udzielonej im przez ks. Koburga.

PIEMONTYZM SERBSKI.

Serbia niejednokrotnie przedstawianą w pismach polskich była, ale nie z punktu dzisiejszego. W oczach nam stoi Serbia dawniejsza — ta, co sobie niepodległość wywalczyła i niezależne, narodowe zapewniła bytowanie. Serbia owa występuje owiana urokami miłości ojczyzny, waleczności, poświęcenia, kutemi na kuźni Homerowskiej. Piękną jest i piękno to służy, jako jej dziejów okrasa, do zapatrywania się na nią i po r. 1830, kiedy przed nią już inne, aniżeli dawniej, stanęło do rozwiązania zadanie — trudniejsze, bo bardziej skomplikowane, a cierpliwości, wytrwałości i pracy wymagające. Polegało ono na tem, ażeby słowianom południowym dać wzór uprawy narodowej. Sama natura rzeczy zadanie to jej narzucała i sprawiała, że Serbia trzymała się w jego granicach. Zachciewanki fantastyczne, z historyi wysnuwane, wskazywały jej *Serbię Wielką*, Serbię cara Duszana i wzbudzały do niej nieufność ze strony innych plemion słowiańskich, półwysep Bałkański zaludniających. Niedowierzali jej nietylko bułgarowie, inoplemieńcy, ale i jednoplemienni bośniacy, hercegowińcy, czarnogórcy. Każde z plemion tych, za przykładem serbów, stawiało sobie własną Wielką Serbię na widoku. Mimo to, Serbia wyzwolona, Turcyi haracz płacąca, przez tureckie garnizony dozorowana, zadanie swoje zadawalniająco rozwiązywała: gospodarstwo krajowe urządzała, szkoły zakładała, piśmiennictwo rozwijała i długów żadnych nie zaciągała. Przy ujściu Sawy do Dunaju płonęło ognisko, przy którem grzeli się i słowianie inni potrosze. Serbia za wzór służyła.

Pamiętamy ją w r. 1865. Święciła ona wówczas jubileusz niepodległości swojej. Była to chwila bardzo uroczysta i przejmująca. Słowianie wszyscy brali w święcie tem udział, a ona czyniła obrachunek sumienia, który w rezultacie ogólnym dawał postęp, występujący jako suma usiłowań na wszystkich drogach i na każdem polu. Pokazało się, że się uczyniło, co uczynić było można. Zaznaczyła się wielka jej niższość na polach handlowem i przemysłowem; było jednak rzeczą zrozumiałą, że w tak krótkim czasie zrobić nie można było tego, w co narody inne włożyły wieki całe pracy usilnej a ciągłej. Zresztą i położenie nie odpowiadało: odosobnienie, brak komunikacyi, sąsiedztwo Austryi, brak kapitałów i wprawy odpowiedniej. We wszystkiem innem atoli namacalnym był dorobek, który tylko rozwijać należało, ażeby przy jego pomocy podnieść w przyszłości przemysł i handel.

Niestety, w owym już czasie odezwała się nuta fałszywa. Dorobkowi owemu, który się nadawał jeno do wyzyskiwania na potrzeby wewnętrzne, inny wytknięto cel. Serbia zapatrzyła się na Piemont i, bez względu na odmienność stosunków i okoliczności, zachciała na półwyspie Bałkańskim odegrać rolę tę samą, jaką na Apenińskim odegrały dziedziczne domu Sabaudzkiego ziemie. Dom Sabaudzki miał za co kupić sobie pomoc Francyi i kupił; miał przytem do czynienia z Austryą, nie wystawioną, jak Turcya, na spółzawodnictwo gabinetów, którym bynajmniej nie chodzi o to, ażeby Serbia na półwyspie zająć mogła stanowisko poważne. Przeciwnie. Zresztą, z jednym tylko gabinetem dla Serbii styczność polityczna możliwą zawsze była. Umizgała się ona różnymi czasy do Paryża i do Petersburga, do Londynu i Berlina; nadaremnie jednak. Dużo rzeczy zmienić można, ale nie położenie geograficzne, stawiające Serbię małą i słabą w zależność od Austryi, panującej na Sawie, panującej na Dunaju i spoczywającej na niej ciężarem całym mocarstwa pierwszorzędnego. Dla zdjęcia z niej ciężaru owego, potrzebaby chyba, ażeby mocarstwo któreś—Rosya albo Niemcy np. — podjęło się Austryę do rozmiarów Serbii zredukować. Jest to absurd, albowiem, przypuściwszy nawet możliwość rozbioru monarchii Habsburskiej, to mocarstwo, któremu by się nad Sawą i Dunajem udział dostał, ciężyło by na Serbii, jak ona. Wypadło stąd, że piemontyzm jej, jak długo występował pod postacią życzenia pobożnego, póty wadził jej o tyle jeno, o ile ścierał się z pobożnemi życzeniami nie wyzwolonych jeszcze z pod panowania tureckiego narodów słowiańskich; przechodząc atoli w czyn, wprowadzić ją musiał na drogę błędną.

W czyn on wprowadzony został 1876 r. przez obecnie dzierżącego ster rządu, Jowana Risticza. Zawichrzenia owoczesne, a mianowicie powstanie hercegowińskie, rozruchy bułgarskie, zwłaszcza zaś dzikie tych ostatnich poskramianie, przeciwko któremu wystąpiła z oburzeniem jaknajgłębszem cała Europa ucywilizowana, popchnęły Serbię do czynu. Wojna, którą Turcyi wypowiedziała, smutny dla niej wzięła obrót. Boje pod Zajczarem, Szuznatonicami, Hiszniewem wypadły niepomyślnie. Najgorszem było, że sprawdziło się, co Serbii przepowiadano, a mianowicie, iż wojny zewnętrznej prowadzić ona nie może. Ściągnęła przeciwnika wewnątrz i na własnych śmieciskach pobić go nie zdołała. Przymierze z Czarnogórą nie przydało się na nic. Korpusy tureckie pod dowództwem Abdul-Kierima, Osmana i Ejuba byłyby Belgrad zajęły, gdyby ultimatum gabinetu petersburskiego nie osłoniło stolicy i nie sprowadziło pokoju, przywracającego *status quo ante*. Próba się nie powiodła fatalnie i przypuszczać można, byłaby Serbii na długo ochotę do piemontyzowania odebrała, gdyby po wojnie 1876 nie nastąpiła wojna 1877. Serbia się weń wmieszała. Przez Rosyę zaprotegowana, następnie Rosyi pobocznica, zdawać by się powinno, że dla niej źródło natchnień, jako też politycznych skazówek istnieć może nie gdzieindziej, jak w Petersburgu. Na Serbii atoli sprawdziło się przysłowie: „Bóg wysoko, car daleko“ — a Austrya pod bokiem. Do wzięcia udziału w wojnie 1877, wymagającego złamania świeżo zawartego traktatu, Risticz, w którego ręku zawsze jeszcze ster rządu spoczywał, potrzebował pozwolenia Austryi. Andrassy pozwolenie wspaniałomyślnie udzielić raczył, nie bezwarunkowo jednak.

Zauważyć należy—i jest to rzecz do podkreślenia ołówkiem czerwonym — że w 1876 ani o pozwoleniu, ani o warunkach ze strony Austryi mowy nie było. Pochodziło to stąd, że bez daru proroczego przewidywać się dawał rezultat wojny. Przedstawiał się on z góry pod postacią upuszczenia krwi. Obojętnem to było dla gabinetu wiedeńskiego. Hr. Andrassy przeto ani pozwalał, ani bronił i nie miał interesu najmniejszego stawania okoniem wobec protekcyi rosyjskiej, mającej doniosłość życzliwości moralnej. Stan rzeczy odmienną przybrał postać, gdy na teatr wojny weszła armia rosyjska. Okoliczność ta zmusiła Austryę do wystąpienia z zastrzeżeniami i warunkami, które zapamiętać należy, charakteryzują one bowiem położenie Serbii. Risticz — ten sam Risticz, o którego niezależności politycznej pisano w czasach ostatnich tak dużo, zobowiązał się: 1-o nie mieć na widoku powiększenia terytoryalnego w stronie innej, jak Niszu; 2-o zawrzeć z Austryą układ o budowę drogi żelaznej; 3-o zawrzeć z nią traktat handlowy.

POEZYA.

NA ODPUŚCIE.

Kocham cię drogi, Wołyniu uroczy!
Kocham was bracia, wołyńskie szlagusy,
I nieraz łzami zachodzą mi oczy,
Kiedy pomyślę, jaki los wasz kusy
A gdy mgła czarnych myśli mię otoczy,
Dąsam się na was, niezdarni negusy,
Za to, że w takiej, jak dziś, twardej szkole
Tak mało włazi w wasze łby bawole!

Cóż stąd, że szlachcic bywa „sercem złoty,“
Kiedy myśl zdrową więzi w takiej cieśni,
Że aż poczęła cierpieć na suchoty
I ledwo dyszy pod skorupą pleśni,
Której nie zmyły klęsk wiekowych słoty?
Więc mi wybaczcie, że w żółciowej pieśni
Nieraz satyry kolcem was zadrasnę,
Choć cierpię, jakbym ukłuł serce własne!

Niedola wasza jest moją niedolą,
Wspólne z waszymi mam grzechy i losy,
I rany wspólne z waszemi mnie bolą;
Lecz nie podnoszę łzawych ócz w niebiosy,
Męczeńską siebie wieńcząc aureolą;
Nie czekam stamtąd cudu — w mej żałobie
Nie winię nieba, lecz szukam win w sobie.

I tylko w sobie szukajmy dziś siły
I mocy, co nas zbawi od zagłady:
Ta moc nie przyjdzie ani z tej mogiły,
W której śpią nasze w karmazynach dziady,
Ani z kościołów, w których stropy biły
I biją naszych płaczów jeremiady,
I gdzie na klęczkach, wzywając mścicieli,
Myśmy w posadzkach doły wyklęczeli!

Bo cóż nam z tego, że wiarą najkrzepsi
Myśmy do świątyń biegli nieustannie
I rozmodleni aż — do katalepsyi
Wołali k' Panu i najświętszej Pannie?
Bóg dotąd głuchy — i święci nie lepsi,
Bo oto do nas, wciąż śniących o mannie,
Nie zejdzie żaden z niebian i nie powie:
— Do usług waszych wielmożni panowie!

Nietylko żaden nie przychodzi święty,
Ale opuszcza nas (tu schylcie głowy!)
Nieomylności zbrojny aż po pięty
Pan plenipotent samego Jehowy;
Pasterz ów zabrnął w polityki męty
I nas — baranków trzódki Chrystusowej,
Mimo zapewnień, że gorąco kocha,
Rzucił dziś w paszczę pruskiego Molocha.

„Skandal“ bolesny — więc owczarnia beczy,
Ale lękliwie... Dużo w tem komizmu
Obok dramatu!... Ach, może wyleczy
Nas od owczego dotąd optymizmu
Ostatni dowód ten pasterskiej pieczy
I z prawowiernej szlachty katechizmu,
W którego prawdy wierzyła społeczność
Wymaże bodaj jedną niedorzeczność.

Nie dziw, gdy naród zdawien-dawna chory
Od osłabienia w malignie majaczy,
Że wierzyć łatwo poczyna w znachory
I szarlatanom odda się w rozpaczy;
Lecz musi przecież doczekać się pory,
Gdy minie obłęd—i chory obaczy,
Jak niedorzecznie łudził się, jak długo
Był celem blagi i szalbierzów sługą.

Ja mocno wierzę, że już dzień nadchodzi,
Gdy złuda spadnie z oczu twych, mój ludu!
Gdy się przekonasz, że żaden dobrodziej
Nie przyjdzie podnieść ciebie, ani cudu
Nie ześle niebo, lecz że cię odrodzi
Tylko moc pracy wewnętrznej i trudu;
Ach, jeśli mocy tej nie znajdziesz w sobie,
Ludu mój, połóż się zawczasu w grobie...

Precz ze zwątpieniem! Ja nie wątpię jeszcze,
A wiecież, co mi dodaje otuchy
I tej nadziei, którą w sercu pieszczę?
— Budzą je we mnie te właśnie obuchy,
Które w nas walą — i te losu kleszcze,
Które tak cisną nas — materyał kruchy

Krótkie nad trzema tymi punktami zastanowienie się stawia sytuacyę jak na dłoni.

Zgodzenie się na terytoryalne powiększenie kraju mogłoby uchodzić za wspaniałomyślność gabinetu wiedeńskiego, gdyby on z góry przekonany nie był, że przybrać ono nie może nietylko rozmiarów carstwa Duszana, ale ani nawet powiększyć Serbii znacznie. Kierunek przytem powiększenia tego wytknięty został jaknajniekorzystniej dla dwóch mianowicie powodów: raz dla tego, że Serbii potrzeba rozsiadać się na podstawie, to jest, na Sawie i Dunaju, nie zaś wysuwać się klinem do góry; powtóre dlatego, że wysunięcie to wystawia Serbię na zatargi z bułgarami i z albańczykami.

Punkt drugi i punkt trzeci oddawał Serbię w niewolę ekonomiczną Austryi.

Kongres berliński położenie jej utrudnił ogromnie. Uzyskała ona: niepodległość, uzyskała przyrostu terytoryalnego 240 mil. kwadr., zamieszkałych przez 200,000 blizko głów i — przyrost ciężaru austryackiego nietylko z góry, ale i zboku. Ten ostatni dotknął ją najmocniej, podkopał bowiem jej piemontyzm, a przytem stał się egzekucyą w odniesieniu do dwóch ekonomicznych punktów zobowiązania.

Zobowiązania w zakresie politycznym dają się i biorą nie na to, ażeby je dotrzymywać i Risticz — przypuszczać można — umawiając się z hr. Andrassym, miał na myśli sposoby dyplomatyczne, za pomocą których układy przewlekają się, zmieniają, odkładają i w niepamięć w końcu puszczają. Gdy jednak Serbię ujrzał oskrzydloną przez to sąsiadce potężnej na łup niemal wydaną, dotrzymać zobowiązania musiał. Zawarł traktat o drogę żelazną. Na dotrzymanie wszakże punktu trzeciego odwagi mu zabrakło. Władzy się zrzekł i złożył ją w ręce stronnictwa konserwatywnego, które się przezwało postępowem (Piroteanac, N. Christicz i Milutyn Garaszanin).

Jowan Ristiez, główny idei piemonckiej przedstawiciel, dla idei tej dwie prowadził wojny i powiększył kraj o 240 mil. kwadr. Nabytek ten atoli, wymagający nakładu pieniężnego, nie spłacił długów na wojny zaciągniętych. Długi pozostały i nadto przybyło zobowiązanie budowania z Belgradu do Niszu kolei żelaznej, to znaczy, narzuciła się potrzeba zaciągania długów nowych.

Znajdował się w czasie owym (1880) w Europie dobrodziej, co pieniędzy pożyczał, niejaki p. Bontou, stojący na czele niesławnej pamięci banku *Union*, sprawującego interesy finansowe kościoła katolickiego. Do banku tego gabinet wiedeński zwrócił Serbię i Serbia wlazła — wlazła po uszy. Bank ów, jak wiadomo, haniebnie zbankrutował, pociągając za sobą samobójstw katolickich bez liku i pozostawiając po sobie w Austryi synka rodzonego. Bankructwo *Union* wprawiło Serbię, mającą budowanie drogi żelaznej na karku, w kłopot okrutny, z którego wydobyła ją Austrya, podsuwając jej nowego *ejusdem farinae* dobrodzieja, *Länderbank*. Ten ostatni pożyczał a pożyczał, ubezpieczając procenty na cle od soli, na dochodach komór celnych, na monopolach itd. i — zniewalając przez to rząd serbski, krainę, której przemysł znajduje się w pieluchach a handel wywozowy ogranicza się na świniach i śliwkach, okładać coraz to znaczniejszymi ciężarami podatkowymi, wywołującymi opozycyę, niezadowolnienie, bunty (Crna Rieka), sądy, egzekucye.

Tak się wyraziło ciężenie Austryi. Serbia zawdzięcza jej jednak rzecz jedną niesłychanie słodką i miłą: tytuł królestwa. Piękny ten tytuł, z jednej strony, uprawnia niejako piemontyzm, z drugiej, nasuwa potrzebę zaciągania długów nowych. Zawdzięcza też Serbia Austryi rzecz jeszcze jedną — wojnę z Bułgaryą, która długi dawniejsze powiększyła o 25 milionów. Długi, długi długi — a wszystkie wypatronowane przez Austryę. Głównym wierzycielem serbskim jest *Länderbank*. Serbia mu do kieszeni wlazła, a wepchnął ją tam pierwszy Ristiez. Znajduje się ona, jak na dziś, w zależności od Austryi ekonomicznej zupełnej. Zależność ekonomiczna pociąga za sobą polityczną. Siostrzyce te siamskie rozdzielić trudno tem bardziej, że na gruncie serbskim łączy je geografia. Złączenie spotęgowały długi, w które wtrąciło biedną Serbię wprowadzanie w czyn, bez względu na warunki i okoliczności, idei piemonckiej. Zaczęło się to w r. 1876. Do momentu owego Serbia długów nie miała ani grosza i znajdowała się na drodze bardzo dobrej. Zachodzi pytanie: czy Ristiez na drogę tę napowrót sprowadzić ją zdoła?...

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Prasa francuska używa bardzo mocnych narkotyków dla podniecenia omdlałej i — dodajmy — zmorfinowanej opinii publicznej. Dziennik *France* doniósł, że kilkudziesięciu generałów stawiło się u Boulangera, gdy był ministrem wojny, namawiając do zamachu stanu oraz że w tym samym kierunku na swoją korzyść nakłaniali go Orleanie. Jeśli to prawda, czemu surowy Katon nie zawiadomił o tem towarzyszów w gabinecie i prezydenta Rzeczypospolitej? Jestto proste i pierwsze pytanie, jakie się nastręcza każdemu logicznemu umysłowi. W doniesieniu więc owem tkwi albo z wiedzą Boulangera sfabrykowana reklama, albo bez jego wiedzy jakiś do wielkich rozmiarów wydęty drobiazg. Naturalnie prasa konserwatywno-monarchiczna zadaje kłam wieści, a jej herszt, Cassagnac odkręcił w ustach swoich wszystkie krany obelg i bucha błotem na republikanów. Przyparta do muru *France* odpowiedziała chłodno: „niech minister wojny pozwoli przemówić Boulangerowi, a zobaczymy prawdę.“ Minister znowu boi się rozwiązywać języka niebezpiecznemu generałowi, który za dużo gada — i tak cała sprawa tajemnicą okryta tuła się niby strach po gazetach, wyzyskujących ją dla czytelników. Ale podobno ten skandal zawiódł nieco oczekiwania i nie roznamiętnił zbyt ogółu. Musi być w Paryżu bardzo gorąco... Senat zatwierdził próbne uruchomienie jednego korpusu armii we wrześniu. Widmo to nie pozwala przespać jednej nocy spokojnie prasie niemieckiej, która coraz bardziej zaostrza swój ton względem Francyi, a nawet *Kreuzztng*, przepowiadając blizki upadek gabinetu Rouviera i objęcie rządów przez Clemenceau, Rochefort itp., grozi możliwością ze strony Niemiec „przyspieszenia katastrofy,“ zwłaszcza że od wschodu ulegają ciągłym napaściom. Kanie polityczne mają więc kroplę dżdżu wojennego, czyli — jak się mówi poprawnie — ciemny punkt na widnokręgu.

Walka przytem przeciwko wartościowym papierom rosyjskim na giełdzie i w prasie niemieckiej nie ustaje. Zapowiadano, że *Nordd. Allg. Ztng* ma ją urzędowym artykułem powstrzymać; tymczasem hasła odwrotu nie słychać, natomiast pióra płatne strzelają. Rzecz dziwna, kurs rubla już dalej nie zniża się a bankierzy berlin-

---

I w ogniu nieszczęść prażą... Z tej giserni
Wyjdziem bez żużli i hartem pancerni!

II.

Wybaczcie, proszę, że w pierwszym rozdziale
Was wynudziłem, odbiegłszy od treści
Zadługo swojc opiewałem żale
Na temat naszych grzechów i boleści —
Temat obfity, więc plotło się... Ale
Gdzież jest bohater niniejszej powieści?
Gdzie pan Lemiecha nasz?.. Otóż go macie:
Wszedł do gospody i siedzi w komnacie...

Siedzi oparty łokciami na stole,
A przed nim Boruch poważny, niemłody,
(Pan Boruch starszym w tutejszej jest szkole
I właścicielem tej właśnie gospody).
Żyd, z uczciwości znany w ziemian kole,
Mówi z Lemiechą i swoje dowody,
Ląrząc na palcach, dobitnie popiera,
Pilnie w twarz patrząc mego bohatera.

— Dobrze pan robi—reb Boruch powiada—
Że zrywa układ sprzedaży z prusakiem.
Niech pan Bóg broni mieć w niemcu sąsiada!
Przy tem wam powiem — choć jestem prostakiem —
Że dziś im ziemię sprzedawać — to zdrada!
Już Wołyń szwabstwem zasiany jak makiem...
Na głowę naszą sypią się jak z worka!..
Dobrze, że nie chce pan sprzedać futorka.

— „To też nie sprzedam ziemi kolonišcie,
„Choć dużo miałem do tego ochoty,
„(Musiał mię dyabeł skusić oczywiście)
„Dziś-bym przed swymi spłonął ze sromoty
„Za ten występek!.. Bo czy słyszeliście,
„Co tam w Poznańskiem robią te hunewoty?
„Jakie z nas czynią gwałtów swych ofiary
„Rugując z naszej siedziby prastarej?!

„O, czasy, czasy! o, przeklęte szwaby!..
„Słyszę, co z nami czynią, myślisz: baśnie!
„Nie chce się nawet wierzyć temu, aby
„Tak się spodlili—niech ich piorun trzaśnie!
„Lecz poczekajcie-no krzyżackie draby!
„Przyjdzie czas na was!.. Millerowi właśnie
„Tu naznaczyłem dziś nasze spotkanie,
„By dobić targu — lecz figę dostanie!

„Pewno się niemiec zdziwi tą odmową —
„A może nawet zagrozi procesem,
„Bo dał zaliczkę i ma moje słowo,
„Lecz—pal go licho!.. niech idzie z kretesem!
„Tu, panie Boruch, ty już pokręć głową,
„Dyplomatycznie jakoś skończ z tym biesem,
„Bo przyznam ci się—na domiar kłopotu—
„Nie mam już owej zaliczki do zwrotu.

„Poradź, co możesz... sumka to niewielka...
„Jeśli sam nie masz — pożycz u Lejzora...“
— Hm!.. dwieście rubli—to nie bagatelka—
Odpowie Boruch — dzisiaj taka pora...
— „Wiem, wiem... dziś trudno nawet o rubelka,
„Ale, cóż pocznę? Radź!.. niemiec jak zmora
„Zacznie mię dusić, aż zmuszony będę
„Wcześniej, czy później, puścić go na grzędę.“

Miał pan Lemiecha mówić jeszcze dłużej
O swoich troskach, kłopotach i biedzie
— Lżej-bo na sercu, gdy się człek wynurzy —
Aż w tem spojrzawszy w okno, krzyknął: „jedzie!“
W tej chwili wjeżdżał do wielkiej kałuży
Ow Miller. „Kończ z nim — Lemiecha zawoła —
„A ja tymczasem jadę do kościoła.“

Właśnie jęknęła głośno sygnaturka,
Wzywając wierny ludek na pacierze;
Kościół stał blizko na szczycie pagórka,
Z za drzew zieleni wznosząc białą wieżę,
A z niej ku ziemi wisiał kawał sznurka,
Którego koniec dziad kościelny bierze
I serce dwonu targając, wydzwania
Porę wotywy, sumy, lub kazania.

Już przed kościołem, tuż u samej bramy,
Stoi koczobryk, kilka najtyczanek;
Zaszedł też powóz stary jakiejś mamy,
Którą otacza córek cały wianek,

scy podobno papierów z rąk nie puszczają, tylko przerażony ogół je zbywa. Ma tego dobrego w Niemczech być przeszło za 2 miliardy; gdyby więc cała suma, albo jej połowa wyszła na rynek, spowodowałaby straszną katastrofę.

Cesarz niemiecki bawi w Gasteinie, gdzie ma się spotkać z austryackim. W ostatnich dniach przebąkują również o przybyciu Kalnokego do Kissingen, dokąd wkrótce przyjedzie Bismark.

Pełnomocnik Anglii, Wolff, zniecierpliwiony zwłoką sułtana w podpisaniu umowy o Egipt, wyjechał z Konstantynopola. Padyszach, zalękniony zerwaniem układów, chciał go zatrzymać, ale goniec przybył za późno. Zerwana nić targu ma być znowu nawiązana z Londynu.

Nareszcie komisya, wyznaczona do rozgraniczenia posiadłości rosyjsko-afganistańskich doszła do porozumienia. Obie strony zrobiły sobie ustępstwa, to znaczy: Rosya zbliżyła się do Anglii w Azyi o krok jeden. Niedługo cieniutka ściana rozdzielać już będzie tylko zapaśników.

Karny bill irlandzki, zatwierdzony przez Izbę wyższą i podpisany przez królowę, wprowadzono już w 20 hrabstwach. Nie mógł więc John Bull oprzeć się chęci zastosowania u siebie „małego stanu oblężenia“ na wzór niemiecki. W państwie swobody nietrwałe to łańcuchy; nie popękają one prędko, bo tam nie prędko się nie dzieje, ale długiej próby nie wytrzymają. Konserwatystom wysuwa się coraz widoczniej z rąk ster rządów, musieli oni nawet zrobić ofiarę ze swych interesów i przekonań liberalnym w drugim bilu — rolnym, a niedaleką jest chwila, kiedy przygodni sprzymierzeńcy odmówią im zupełnie swego poparcia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZEWNĘTRZNE UJŚCIA

dla naszego przemysłu.

Ilekroć instytucya ogólniejszego znaczenia pojawi się na widnokręgu naszego małego światka—a przyznajmy, że bardzo rzadko się to zdarza — przyjmujemy ją z wielkim zapałem, co do jej przyszłości świetne wywodzimy wróżby i niejednokrotnie widzimy w niej urzeczywistnienie wszystkich programów społecznych.

Po chwili jednak zapał niknie, niechęć zasłania różowe nadzieje a instytucya, do której tak wielkie przywiązywano znaczenie, schodzi do rzędu nie nieznaczącego czynnika.

Pokrewny objaw spostrzegamy, badając przebieg działalności tutejszego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Gdyby nie sprawozdania z jego posiedzeń podtrzymywane dbałością reporterową o... wiersze, działalność Towarzystwa równie dobrze znaną byłaby opinii, jak np. drogi, któremi Francya prowadzi eksploatacyę zdobytego Tonkinu.

Chwila powstania u nas tej instytucyi odnosi się do epoki, w której wytwórczość krajowa w całej pełni się rozwijała a kierunki ówczesnej polityki ekonomicznej państwa rzucały pierwsze zarysy systemu protekcyjnego, dziś tak wybitnie występującego. To też sfery przemysłowe i handlowe z wielkiem zainteresowaniem i życzliwością powitały tę instytucyę. W samych jednak początkach odrazu można było przewidzieć czego one domagać się będą. Wyobrażano sobie, że będzie to puklerz, osłaniający przemysł od współzawodnictwa zagranicznego i pośrednik do usług z góry płynących. Odrazu też sekcye Towarzystwa zasypane zostały niezliczoną ilością projektów, w których nie było mowy o stowarzyszeniach, o potrzebie wyszukiwania nowych źródeł zbytu dla przemysłu, lub o komisyach mających na celu zbadanie stanu przedsiębiorstw krajowych, lecz wygodny protekcyonizm stał się punktem wyjścia dla wyrażonych pragnień. Począwszy od wielkich przedsiębiorstw a skończywszy na rzemiosłach i rzemiosłkach, wszystkie one zagrały w puzon, którego wielkiem hasłem była „protekcya.“ Węgiel, ruda, żelazo, cegła, wapno— wreszcie pudełka a nawet książki i dzieła sztuki, według projektodawców, winny być obłożone wysokiem cłem wchodowem, żeby ułatwić krajowi pracę a może... fuszerkę.

Towarzystwo nie położyło na wstępie tamy tym jednostronnym prądom, ale z wielką łaskawością przyjmowało wnioski, choć wiele z nich zasługiwało na grób w koszu. Sekcye okazywały się nad wyraz uprzejme i każdy projekt wchodził na porządek obrad, choć treść niektórych poprostu wywoływała śmiech w słuchaczach. Stracono przez to wiele drogiego czasu i w rezultacie — osłabiono zainteresowanie uczestników posiedzeń, z których rozumniejsi nic pocieszającego wynieść nie mogli.

Ten okres „protekcyonizmu“ zmarnował najpiękniejsze dnie Towarzystwa, a gdy wreszcie wyzyskano do ostateczności dobrą wolę kierowników i ostatnie postanowienia władz silnie kierunkiem ochronnym zasyciły stronników „opieki państwowej,“ posiedzenia Towarzystwa i działalność sekcyi do coraz skromniejszych ograniczają się rozmiarów, a instytucya „wychodzi z mody.“

Niemniej zarząd, uporawszy się z „protekcyonistami“ i zwolniony od nawału osobliwych wniosków, zaczyna teraz dopiero rozglądać się w położeniu i, o ile się zdaje, dąży do właściwego spełniania swych zadań.

Widać to z szeregu poważnych rozpraw, mających na celu zbadanie pól zbytu dla tutejszej produkcyi i otworzenie jej rynków dalekiego Wschodu. Wprawdzie od tego zacząć należało... ale skoro losy, czy nasza naiwność, inaczej zdziałały, pocieszajmy się starą sentencyą: „lepiej późno niż nigdy.“

Otóż, sprawa handlu ze Wschodem, stoi obecnie na porządku dziennym. Towarzystwo poświęciło jej kilka posiedzeń a nawet wysłano agenta, który na półwyspie Bałkańskim miał rozpatrzeć tamtejsze stosunki handlowe, poznać, jakie gałęzie naszego przemysłu znaleźć by tam mogły ujście i złożyć szczegółowe sprawozdanie.

Czy ten krok pierwszy doprowadził do czego, zobaczymy poniżej, tu tylko nadmienimy, że wzięto się do rzeczy niepraktycznie.

Zarzut niepraktyczności opieramy nie na przypuszczeniach, lecz na podstawie zdań ludzi, którzy od lat wielu Wschód poznali, stosunki z nim ciągle utrzymują i za zupełnie kompetentnych uchodzić mogą.

Wysłanie jednego lub kilku nawet delegatów sprawy nie ureguluje z następujących powodów.

Najbystrzejszy nawet agent, któremu polecimy zbadanie położenia na znacznym stosunkowo obszarze, pozna grunt powierzchownie, powie, że pewne towary znaleźć odbyt mogą, ale nie objaśni dokładnie, w jakiej ilości i w jakim czasie najwłaściwiej je wysyłać. Trzeba dłuższego czasu, żeby ocenić położenie, trzeba wżyć się w stosunki miejscowe i dopiero na podstawie danych z doświadczenia wyrokować o rzeczy. Na-

---

Dalej półdrabki, w których jeżdżą chamy
(Wara zajeżdżać w nich przed pański ganek!)
Wasążki, bryczki, plecione z rogóżki
Bidki, dryndulki, wózeczki i wózki.

Dużo pobożnych zjeżdża się od rana,
Ale nierównie więcej dąży pieszo:
Ludność uboga, pstra, jednak przybrana
Świątecznie — płynie tutaj barwną rzeszą;
Mieszczański kubrak, włościańska sukmana
Razem z szlachecką gunią lub bekieszą...
Kobiet najwięcej — te strojno, choć boso,
Idą i w rękach obuwie swe niosą.

Aż pod kościołkiem, w miłym chłódku
[cienia
Usiadłszy — każda z pątniczek kompanii
Wzuwa trzewiki... czasem nawet zmienia
Koszulę... *) wobec tuż okien plebanii,
Z których wikary patrzy odniechcenia,
Szepcąc pacierze... a choć w duchu gani
Za ten *dezabil* parafianki hoże,
Lecz od nich oczu oderwać nie może...

Nie patrzeć — każe sromu obowiązek,
Patrzeć zaś zmusza go ten pociąg, który
Zwą estetycznym... Ów piękna zawiązek
W nas zaszczepiony jest z greckiej kultury,
Co przekroczyła po za kres podwiązek
Ciekawem okiem... i piękność natury
Nieosłoniętą, nieskażoną blagą,
Ale bóstwiła taką, jak jest — nagą...

Z tego mi łatwo będzie wysnuć wątek
Zjawiska: czemu, szepcąc antyfony,
Ksiądz wścibia nieraz nos w taki zakątek,
Gdzie mu wyraźnie wzbraniają kanony?
Czemu ten z lica wielkopostny piątek
Tak lubi węszyć „trefne“ cudzej żony?
— Bo w nim wrodzonej *estetycznej* żyłki
Żadne nie mogą zmódz ślubów wysiłki.

Trudno mu gwałtem iść przeciw naturze
I z jej prawami staczać wieczne boje,
Nie uśpi w sobie jej nawet w klauzurze,
Bo i tam będzie „pop swoje—czort swoje“—
Aż zmordowawszy swe anioły — stróże
Ciągłym i w nocy i w dzień niepokojem
O celibatu swego wątłe szranki,
Zwyciężon legnie... u nóg parafianki...

Wtedy naoścież otworzy upusty
Długo tłumionych i wezbranych chuci:
Najpierw z przykazań dziesięciorga—szósty
Artykuł cały z kretesem wyrzuci;
Celibat staje się matką rozpusty,
Z której go chyba zgrzybiałość ocuci,
Rozpusty stokroć wstrętniejszej, bo skrytej
Pod poświęcaną suknią hypokryty.

Co też moralność może zyskać nasza
Na takim księdzu, na owej zuzuli,
Która do cudzych gniazd swe jajka znasza
I jest jak truteń, co miód kradnie z uli
I jak wąż pełza w pałace... w poddasza?
O, nieomylny! rozkaż w swojej bulli
Niech te zarazki rodzin — „laseczniki“
Legalnie żenią się jak śmiertelniki!..

Przebóg! wpłynąłem na zdradliwą rafę,
Od której łodzi mej zagraża przetyk...
Czy oszalałaś muzo moja? a fe!
A fe!.. o księżach bzdurzysz, jak heretyk!
Cyt!... mogą skazać cię na auto-da-fe,
Za to, że tykać śmiesz to, co jest nietykalne i święte!!... aż mię przeszło mrowie:
Co na to *Przegląd katolicki* powie?

Co powie cała czereda dewotek,
Która żarliwie w celibacie kleru
Dla serc swych wolnych od ziemskich hi-
[potek,
Seraficznego poszukuje żeru?...
Lecz zamilcz, muzo! po co błotem plotek
Brudzić ten biały kawałek papieru?
Niebaczna miarkuj swój ton zadzierżysty
Z tymi, od kogo czuć zapach zakrystyj!...

(D. n.)

Włodzimierz Wysocki.

*) Autentyczne.

stręcza się tu przytem jedna jeszcze obawa, którą nasuwa brak znajomości praktycznej, mianowicie: możność narażenia przemysłowców na zawody i straty wynikłe z zawiązywania stosunków z nieznaną klientelą. Z pozoru agentowi firma jakaś wydawać się może bardzo poważną, a tymczasem po za świecidłem zewnętrznem kryje się dążenie do rzeczywistego lub fałszywego bankructwa.

Następnie kupcy, zwłaszcza rosyjscy, nie mają zaufania do różnego rodzaju agentów, narzucających się z pośrednictwem. Sparzeni wielokrotnymi zawodami, w każdym widzą żyda, a jest to kategorya ludzi, z którą bardzo niechętnie zawierają umowy. Słusznie ocenił położenie jeden z tutejszych przemysłowców, mówiąc do nas: „Kupcy z Cesarstwa i z dalekiego Wschodu nie mają sprytu handlowego; przypisując im ten przymiot, mylimy się wielce. Ale brak ten — o którym wiedzą—chcą wynagrodzić wniknięciem w charakter człowieka, z którym mają wejść w stosunek. Rozmawiając długo z takim kupcem, spostrzeże pan, że nie ci zrazu nie odpowiada i upornie patrzy w oczy. Nie obejmie odrazu interesu, jaki mu pan proponujesz, ale chce zajrzyć w ciebie i nabrać przekonania, żeś uczciwy, że go nie wywiedziesz w pole. Nie zachęcą go najświetniejsze obietnicy zysku, lecz zjedna pewność, że polegać może na charakterze.“ Otóż ten rys brać zawsze trzeba pod uwagę i wybierać na agentów ludzi uczciwych a firmy poważne. Wreszcie i na to baczyć trzeba, że tacy rozjazdowi agenci bardzo są kosztowni. Ciągłe ich podróże, przebywanie w miastach, których nie znają i konieczności życia z pewną wystawnością, pochłaniają sumy znaczne, nieraz zabierające cały zysk z przedsiębiorstwa.

Chcąc powyżej wskazanym niedogodnościom zapobiedz, należałoby, naszem zdaniem, utworzyć biuro centralne dla handlu ze Wschodem, a wszędzie, gdzie tego okaże się potrzeba, ustanawiać agentury *stałe* z ramienia i pod kierunkiem biura działające.

Na czele jego postawiony zarząd z członków Towarzystwa popierania przemysłu i handlu oraz wybitniejszych przemysłowców tutejszych, odrazu zyskałby sobie zaufanie ogólne nietylko powagą kierowników, ale i ich kompetencyą. Wreszcie czy mamy dowodzić, że ześrodkowanie działalności na tak olbrzymich przestrzeniach tylko na pożytek interesów wyjdzie? Ująwszy w rękę cały handel wywozowy i przywozowy, nadając mu kierunek odpowiedni, mając wskazówki, według których regulować by należało produkcyę, biuro stanie się instytucyą nieocenionej dla kraju użyteczności. Pojedyncze usiłowania przyniosły już wprawdzie krajowi pewne korzyści, ale nie objęły całego przemysłu, a nadewszystko, nie potrafiły mu wyrobić uznania, bo pokątne i ze złą wiarą działające faktorstwo kilkakrotnie skompromitowało nasz przemysł. Trzeba żelaznej ręki i dobrej głowy, trzeba dobrej marki a nadewszystko energii, żeby w korzystnem świetle przedstawić tutejszą wytwórczość.

Jak dotąd, najzacniejsze chęci pewnych osobistości, odwołujących się do Towarzystwa, miały tę ujemną stronę, że luźnie objawiane i popierane, nie dość korzystne dały rezultaty. Świeży a smutny przykład mamy po powrocie agenta wysłanego dla zbadania rynków handlowych półwyspu Bałkańskiego. Zadanie jego było szeroko i długo określane na posiedzeniach Towarzystwa i przez kilka miesięcy z zaciekawieniem wyczekiwaliśmy powrotu delegata. Tymczasem pan ten doniósł nam, że najważniejszej części swej misyi nie wykonał. Czemu? Bo wysłano go nie z poleceniem *obowiązkowego* spełnienia instrukcyi, lecz w charakterze osoby, która Towarzystwu wielką zrobiła łaskę, wyjeżdżając w tę podróż. To też z łaski przejechał się delegat do Rumunii, podczas gdy miał zbadać przedewszystkiem Bułgaryę, w której zupełnie nie był. I otóż gotowy rezultat amatorskiego traktowania sprawy. Zmarnowano kilka miesięcy bezpożytecznie i zanim zdobędziemy się na wędrówkę nowego delegata, uprzedzą nas inni, zawiążą stosunki i figę nam pokażą.

Gdyby zaś agent taki stał pod kontrolą, gdyby instrukcyę należycie miał opracowaną, gdyby wyjeżdżał z polecenia instytucyi urzędowej, nie wróciłby z próżnemi rękami. Wreszcie, jak w tym wypadku, nie rozumiemy zupełnie, po co wracał do Warszawy? Zamiast siedzieć na miejscu, zawiązywać stosunki i obznajamiać się z położeniem, przyjechał, żeby w Warszawie napisać *referat dla Towarzystwa*! Otóż to po naszemu!! Wszak w Rumunii i Bułgaryi papieru dostanie, a poczta go przewiezie — więc po cóż ta przejażdżka powrotna, do tego z rezultatem żadnym?

Czyż więc sam ten fakt nie świadczy, że dyletantyzm i próby na ochotnika, musimy zastąpić organizacyą silną i z planem działającą? Organizacyę zaś taką i plan, dać tylko może instytucya prawidłowo działająca. *R.*

BADANIA NAUKOWE.

SZAŁ ASCETYCZNY
(szkic socyologiczno-historyczny).

II.

Organizm ludzki wymaga harmonijnego zaspokajania potrzeb i popędów. Nadużycia karze przesytem, niedobory — łaknieniem. Ascetyzm zaparł się wszystkich instynktów cielesnych i tem samem wywołał jedynie głośniejsze dopominanie się z ich strony. Ale ponieważ, zdaniem mistyków dualizmu, ciało wraz z popędami, to siedlisko pierwiastku złego, przeto wywnioskowano, że i te łaknienia z odpowiednimi stanami świadomości są jedynie pokusami „dyabła.“ Ciało nie przestaje wołać o zadośćuczynienie i to tem głośniej, im bardziej je umartwiamy. Pustelnik znów, chcąc pokonać „dyabła,“ tem namiętniej katuje swego „osła,“ że wyrazimy się językiem „świętych“ mężów. Walka z „osłem“ i ukrywającym się po za nim „dyabłem“ rozognia się. „Z żadnym stanem dyabły nie mają większej nieprzyjaźni, jak z zakonnikami, mnichami i mniszkami. Na nie najchytrzejsze i najsubtelniejsze sieci miotają“ (słowa pustelnika Antoniego). Makary egipcyanin, gdy go napadły „myśli czartowskie,“ mianowicie chęć udania się do Rzymu i czynienia tam dobrodziejstw biednym i cudów, nasypał dwa worki piasku, biegał z nimi po pustyni i wołał: „mój osioł (jest) leniwy i nikczemny, chce mu się biegać na świecie, niech się nabiega!“ Ewagryusza egipcyanina „dyabeł“ kusił „nieczystością“; na tę naturalną i przyrodzoną potrzebę ciała, przybraną przez mistycyzm dualistyczny w szaty czartowskie, ów mąż odpowiedział przesiedzeniem całej nocy w studni, a było to zimą. Włoch Romuald rok cały nie nie jadł na dzień, krom garści uwarzonej tatarki. Wskutek głodzenia tęsknota po dawnem życiu pojawia się od czasu do czasu — to kusi go dyabeł! Dzięki zdenerwowaniu zradza się bezsenność — to tenże niecnota postanowił zamorzyć go niespaniem! Franciszek z Assyżu, gdy umartwiane ciało dawało słyszeć o sobie, zwlekał suknie, bił się powrozem i mówił: „bracie ośle, tak cię będę częstował!“ To znowu w śnieg wchodził, dopóki „ogień pokusy“ nie zagasł i wogóle, jak mówi dziejopisarz obłąkanców tego rodzaju, „osła swego robotą cielesną trudził i podły mu obrok dawał!“ Wszędzie w odzywaniu się ciała widziano dyabła i jego nagabywania, przypisywano mu wszelkie niepowodzenia i wciąż go się obawiano. Romuald co chwila spodziewał się go ujrzeć; kto tylko do drzwi zakołatał, sądził, że to już dyabeł, i łajał. Najzupełniejszy rozstrój nerwowy musiał się wywiązywać na takiej podstawie umartwień, postów, katuszy ciała, zagłuszania popędów, powziętej a podniecanej całem otoczeniem życiowem idei oglądania we wszystkiem kusicielstwa czartowskiego, opętywania się łaknieniem walki z „osłem.“ Zważmy jeszcze na to, że już sam fakt zerwania ze światem, przejęcia się ideą pustelnictwa i ascetyzmu, wykazuje nadzwyczajną wrażliwość i jednoczesną podatność nerwową — jest to grunt nader przyjazny pod zasiew zupełnych mającem halucynacyjnych.

Po tej uwadze bierzemy do ręki „Psychologię fizyologiczną“ Wundta, mianowicie rozdział o halucynacyach, w którym czytamy, co następuje. Pomiędzy przyczynami halucynacyj znajdują się zaburzenia organizmu z powodu niedostatecznego odżywiania (co ma miejsce wśród obłąkańców pustelnictwa); długa samotność usposabia do obłędów słuchu, ciemności — wzroku, wogóle wszelka nienormalna działalność organizmu wznieca skłonność ku urojeniom zmysłowym. Same halucynacye są w związku z nastrojem umysłu; chory na manię prześladowczą słyszy głosy siepaczów, na religijną — postacie nadziemskie. Rzeczywistość zespala się z urojeniem; dotknięty nie wie, gdzie jedna się kończy, a druga poczyna; fantasmagorye stają się dlań najrzetelniejszą prawdą. Fakty zewnętrzne wyrastają do niesłychanych rozmiarów; lekkie uderzenie przeradza się w grzmot, szelest wiatru — w muzykę, obłoki, skały i drzewa przybierają fantastyczną postać.

Zapożyczyliśmy u Wundta ten opis, oparty na faktach, stokrotnie stwierdzonych przez psychiatryę. Możemy to, w mniejszym lub większym stopniu, zastosować do biednych obłąkańców, pogrążonych w walce z najkardynalniejszymi popędami ciała i widzących w nich dzieło rąk dyabelskich. Co chcieliby wykorzenić z pamięci, a w czem niegdyś znajdowali największą, być może, przyjemność, to teraz nasuwa się na myśl, dręczy, przyciąga, uśmiecha się. Czart bezustannie targa pustelnika Antoniego tem, co opuścił: bogatą majętnością, sieroctwem siostry młodej, zacnością rodu, rozkosznymi pokarmami; im bardziej odprawiał myśli takie, tem mocniej go nagabywały. Książę Wilhelm, sławny rycerz, zakopał się w pustelni; czarci jako wielkie wojsko jezdnych obstąpili jego komórkę i czynili rycerskie igrzyska. Hilaryonowi, gdy jeść pragnął, ukazywały się smaczne potrawy, a Hieronimowi majaczyły się tańce panieńskie. Zresztą czegoż dyabeł nie czynił!? Postanawia za wszelką cenę doprowadzić ojca Pohamiusza, potępiającego wszelką wesołość, do śmiechu; przerywa mu modlitwy, trzęsie komórkę. Gdy szedł, szatani błaznowali przed nim, wrzeszcząc: „z drogi Pachomiemu!“ Razu jednego przewiązali liść na drzewie sznurami i z wysiłkiem ściągali go całą chmarą na ziemię, byleby mąż święty się rozśmiał! Czart kładł się nocą przez lat 5 na nogach Romualda i dla wielkiego ciężaru nie dał mu się odwrócić.

Ale to wszystko nie dorównywa tym walkom, które toczyli bohaterzy ascetyzmu. Któż nie zna obrazka Flauberta o kuszeniu pustelnika Antoniego? „Smok“ postanawia go wygnać z chałupki; uderzył z wielkiem wojskiem i tak go zbił, że pustelnik uchodził za martwego. Ale przyszedł do siebie i wyzwał wroga. Ten nie dał czekać na siebie i z ogromną gromadą rozmaitych bestyj i srogich zwierząt uderzył na chałupkę, którą rozproszywszy, zaczął straszyć rykiem; lecz mąż święty, lubo zbity przez boleść wielką, wołał na nich i mężnie się trzymał.

Dyabły napadli na Furseusza irlandczyka jako obłok czarny; „byli szpetni, wyschli, długoszyjni, sprośni, głowy mając jak miednice i puszczali strzały ogniste.“

Gutlak udał się na samotną wysepkę, spożywał raz na dzień chleb jęczmienny i popijał mętną wodę. Pewnej nocy przyleciało liczne stado czartów, porwało go z komórki, topiło w bagnach, włóczyło po cierniach. Bito go żelaznymi biczami, męczono skrzydłami, wreszcie zaniesiono gdzieś w północne strony. Tam gdy pozostawiono go w straszliwych ciemnościach, przyleciał nowy a niezliczony poczet brzydkich dyabłów, poniósł do wrót piekielnych itd. itd. Święty pustelnik wezwał nakonice pomocy niebios, a te kazały szatanom odnieść go z powrotem bez szkody.

Innych ascetów bili po twarzy, zrzucali ze skał lub schodów, strącali do studni. Dustan, anglik z X w., tłukł dyablów kijem, aż póki go nie rozłamał; naówczas sprawił sobie mocniejszy i nim odpędzał wrogów; Mozes, murzyn, doszedł do takiej doskonałości, że „czartami jako w zimie muchami gardził.“ I takie zapasy spotykamy w pustelnikach bezustannie; wspomniany już Ewagryasz napisał ksiąg troje o prowadzeniu walki z dyablem.

Nie potrzebujemy dodawać, że halucynacye wzroku i słuchu były tu wszystkiem; być może, burza zamieniła się w wojska piekielne, a organizm ascety miotał się wśród obłąkania w konwulsyach epileptycznych. Po dowody nie potrzebujemy udawać się daleko; szpital waryatów dostarcza nam obłąkańców, co uciekają przed prześladującem widmem i walczą z nieistniejącą marą. Zmieńmy warunki — wyobraźmy sobie te umartwienia ciała, posty, wstrzemięźliwość płciową, widzenie dyabła w popędach ciała, a otrzymamy, zamiast tła prześladowczego, potyczkę z dyabłem. Obecna psychiatrya pomieszcza wszystkie te zjawiska wśród faktów obłąkania i wyjaśnia przez rozstrój nerwowy z powodu umartwiania. Wogóle, nowoczesna nauka, dzięki badaniom hypnotycznym, doszła do takiego rozwoju, iż może doświadczalnie, niemal na zawołanie, wytwarzać „cuda“: wywołuje miejsca krwią zaszłe, pokrewne „świętym“ stygmatom, ulecza pewnego rodzaju paralityków, ślepych i innych za pomocą słowa, a nawet jest w stanie ukazywać duchy *). Ona też, mojem zdaniem, mogłaby odtworzyć sceny z pustelni, gdyby nie ceniła zbyt wysoko zdrowia ludzkiego. Tu jeszcze muszę zwrócić uwagę na jeden punkt — częste wtrącanie się sił niebieskich w celu „zdjęcia“ cielesnych pokus z ascetów. Rodzina sprowadziła kobietę do Tomasza z Akwinu, chcąc go odwieść od zamiarów, lecz ten wygnał kusicieli i zaczął się modlić o zachowanie czystości. Zdrzemnął się, przez sen widział, jak dwaj aniołowie ściągali pasem jego lędźwie: „pasem cię czystości ściągamy, który się nigdy nie przerwie!“ Uczuł na ciele wielką boleść, ocknął się i krzyknął, „odtąd miał wielki dar czystości...“ Aniołowie, a raczej ręce obłąkańca, w szaleństwie własne czyny przypisującego niebiosom, nieraz spełniały taką rolę.

(D. n.)

Lud. Krz.

*) We śnie hypnotycznym można uśpionemu poddać rozkaz, że po przebudzeniu, w oznaczonym czasie i miejscu, ma ujrzeć wiadome przedmioty, ludzi, zjawiska. I w samej rzeczy je widzi, jakkolwiek nie istnieje. Niektórym osobom można poddać to nawet na jawie.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

B. Szwajcer: *Jankiel Filut*, opowiadanie żydowskiego żaka (buchera). Łódź 1887.

Trudno popełnić błąd jeszcze przed nagłówkiem książki — autor tej sztuki jednak dokazał, przesyłając utwór swój „dla redakcyi *Prawdy*.“ Nie łatwo też zwykłemu śmiertelnikowi pojąć wszystkie owe nazwy i określenia stanów i godności, napotykane w *Janklu Filucie* — a jest ich dużo, bo powieść ma aż 100 stronic. Oto dwie okoliczności, które zawczasu źle usposabiają czytelnika. Po kilku chwilach jednakże, gdy po rozcięciu kartek przechodzi do czytania, zapomina o przykrem wrażeniu. Uderza go wielka prostota w wysnuwaniu wątku, lekki ton, podszyty dosyć subtelną ironią, zwięzła a przekonywająca, bo trafna charakterystyka mowy i zwyczajów żydowskich. Autor roztacza przed nami widok małego miasteczka Chodzerowa i na tle jego maluje życie miejscowych izraelitów, w które wplótł historyę chłopca, mocno budującą i mocniej jeszcze naciąganą. Jest nim właśnie Jankiel Filut, sierota pełen wybitnych zdolności i mglistych przeczuć o istnieniu szerszych widnokręgów i szczytniejszych celów nad ślęczenie w chederze oraz wkładanie łopatą w głowę przyszłych przedstawicieli narodu wybranego — wiedzy talmudycznej. Miasteczko wnet odgadło w przybyszu umysł niepospolity i z właściwą żydom, tajemnie a trwale zorganizowaną filantropią zajęło się nim. Wzięto go na składkowe utrzymanie i przy tej sposobności poznajemy dobroczyńców, zarazem zaś głównych obywateli chodzerowskiego grodu. Ten i ów ma już na niego widoki natury matrymonialnej, do czego przyczynia się bardzo i piękna powierzchowność młodzieńca. Puszczono w ruch wszystkie sprężyny swatowstwa, że jednakże Jankiel zdobył serduszko dziewczyny bogatej a przeznaczonej dla kogo innego — stąd dramat, starcia, intrygi. Omal ofiarą ich nie padł bohater, rywal bowiem chciał go już otruć, ale zamach się nie udał — wzmogła się jeno miłość mądrego żaka do pięknej Malki i nawzajem, tak iż uczciwi i życzliwsi rajcowie gminy sami okiem przychylnem spoglądali na romans.

Lecz, jak się rzekło, Jankiel to młodzieniec niezwykły. W ciągu jednej godziny nauczył się on sylabizować po polsku, niemiecku i rosyjsku, dzięki mistrzyni swej, Malce — a potem olbrzymie zdolności, pamięć o ojcu, który przed zgonem dał mu cenną i szlachetną naukę, łaknienie lepszego bytu natchnęło go niezmierną pracowitością i energią, tak iż po latach kilku widzimy go już studentem politechniki paryskiej, a po następnych kilku... profesorem wszechnicy w Oxfordzie.

Skąd na to wszystko wziął środki, jakie koleje przechodził w szkołach, jakie zapory zwalczał nim dopiął upragnionego celu — autor nie mówi. Widocznie dosyć mu było znakomitej tradycyi Hirszfelda itp., oraz powszechnej wiary w tego rodzaju i tylekrotnie już stwierdzone cuda, więc część najtrudniejszą powieściopisarskiej roboty zostawił domyślności czytelnika. Postęp wykształcenia kroczy tam bodaj czy nie chyżej od owej lokomotywy, która głowę Jankla napełniła rojeniami, rozciekawiała niesłychanie i zachęcała do zasłużenia się ludzkości również jakimś wielkim wynalazkiem. Nic dziw, iż historya, jedna z wielu prawdziwych, straciła cechę prawdziwości. Tego nie dosyć. Tak łatwo wzniesiony filar nauki europejskiej nie zapomniał w wieńcu swej sławy o rękach, które pod nią kamień węgielny podłożyły — o Malce. Przetrwał w swych uczuciach, pomimo iż była dziewczęciem prostem, córką prawowiernego, już nie kapociarza, lecz hasyda i tem tylko przerastała rówieśniczki, że znała początki języków. Stąd efekt dosyć komiczny. Profesor uniwersytetu oxfordzkiego pełne patosu i ognia listy podpisuje „Jankiel,“ rozpoczyna zaś od słów: „Droga Malko!“ Nie myślę bynajmniej wątpić o harmonii pięknych tych imion, ale boję się, że, jeśli nieszczęsny ród Izraela znajduje się na jakiejś planecie w drugim egzemplarzu — to nawet tam o podobnych sielankach nie marzą. Idealizm to tak wygórowany, tak prawdopodobny, jak... wieża Babel. Zazdrosny Chaim, który zamiar przeniesienia Jankla do lepszego świata tłomaczył upatrywaniem w jego nadmiernym rozumie niebezpieczeństwem dla świętej wiary ojców — okazał się lepszym psychologiem od autora.

Wogóle łatwo dostrzedz pewną dwoistość w gadce p. Szwajcera. Sposób myślenia żydów prowincyonalnych pochwycił on i oddał wybornie. Charakterystyczną logikę ich rozumowania i zwroty ich dyalogów — odwzorował z istotnym realizmem, którego źródłem jest nie świadome wyznawanie jakiegoś kierunku literackiego, lecz znaczny dar obserwacyjny i zdrowy rozsądek. Widziałem współwierców Jankla, jak delektowali się niejedną kartką książki p. Szwajcera. Czuć, że to pisze nie obcy postrzegacz, lecz dziecię ludu żydowskiego, wzrosłe wśród wszystkich tych typów i zwyczajów, które opisuje. Niektóre ustępy, jak np. opowiadanie faktora kahalnego o Warszawie, banku, Saskim ogrodzie, Koperniku i królu Zygmuncie, zasługiwałyby na przytoczenie *in extenso*. Narady czcigodnych ojców miasta nad wypędzeniem złego ducha, który usadowił się nad mykwą — był to Jankiel, powtarzający słówka rosyjskie itp. — oraz wyzyskanie łatwowierności ich przez cadyka — uderzają prawdą. Przyjemny dosyć, nowelistyczny humor tryska z opowiadania. To — zalety.

Wad znacznie mniej — właściwie jedna, ale starczy za pół kopy mniejszych. Jest nią wspomniane już przeskakiwanie faktów, nadających wszelkiemu wątkowi pozór możliwości.

Ktoś nas objaśnił, że *Jankiel Filut* wyszedł najpierw w żargonie i dla czytelników polskich nie był wcale przeznaczony. Jeśli to prawda, wówczas mamy klucz owej sprzeczności. Niższe warstwy ponoć obficie karmią się bajkami moralizującemi, pouczającemi, ale bardzo naiwnemi w układzie. Powieść p. Szwajcera widocznie skrojoną została wedle takiego wzoru. Język wolny jest od usterek.

Objaśniano nas też, iż sam autor należy do odszczepieńców hasydyzmu. A zatem własna jego przeszłość w pewnym ułamku stwierdza tezę *Jankla Filuta*.

Do spróbowania sił swych na polu twórczości obmyślanej nie dla społeczeństwa chałatowego — możnaby p. Szwajcera tylko zachęcać. Wiele przemawia za tem, iż występ powiódłby mu się, choćby nawet z tej samej sfery czerpał natchnienie. Wprawdzie szkice w rodzaju powyższego nie krzewią myśli szerszych, nie dotykają dramatów ważniejszych, jak to czyni Gutzkow w *Urielu Akoście*, Orzeszkowa w *Meirze Ezofowiczu*, lub George Elliot w *Danielu Deronadzie*, ale i drobne walki zaściankowego bytu zacofańców warto poznać. Niewiele się nauczy socyolog, nie wielkiej otuchy nabierze patryota, ale rozciekawią one przyrodnika, jak ule i mrowiska. Bo te sprawy zakulisowe są sprawami państwa w państwie, mającego oddzielne swe prawa i urządzenia, nader dowcipne i nader silne, a utrzymywane jedynie wewnętrzną jakąś, niezrozumiałą dla przeciętnego widza karnością; to jakiś odrębny gatunek istot kopalnych, stojących na pograniczu gromady i społeczeństwa. Oto dla czego i *Janklowi* poświęciliśmy wzmiankę szerszą może niż na to zasługuje.

Cez. Jel.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Gustaw Doré ma namiętnych wielbicieli za morzem, ale w ojczyźnie nie bez pewnej ironii o nim wspominają. W Szkocyi np. niejakiś Duncan urządził w zamku swoim osobną, sto dwadzieścia stóp długą galeryę dla pomieszczenia obra-

zów Dorégo. Amerykanie, którym przedewszystkiem imponował nieco Szekspirowski zakrój płócien, gotowi są stawiać go wyżej niż Rembrandta. Podobno jakiś przedsiębiorca-yankes proponował artyście odtworzenie pędzlem wszystkich ewangelii, w olbrzymich rozmiarach, ażeby następnie malowidłami obstawić Niagarę; za skromną zachciankę tę dawał trzy miliony dolarów. W Londynie w r. 1873 wystawa utworów Dorégo była jak gdyby publiczną uroczystością. Wreszcie do najpoważniejszych hołdów należy duże dzieło młodej amerykanki, panny Roosevelt, poświęcone zmarłemu niedawno mistrzowi. Jest to jeden wielki hymn pochwalny.

Na biegunie przeciwległym stoi utalentowany i dowcipny estetyk Paweł Desjardin. Waha się on bardzo przyznać Dorému coś więcej, nad szczęśliwą organizacyę pamięci, wyobraźni i oka a już całkiem stanowczo opiera się zaliczaniu go do geniuszów. Był to umysł płytki i powierzchowny, niezdolny do należytego zrozumienia a więc i oddania pomysłów wielkich pisarzów. których ilustrował. Ani wspaniałe satyry Rabelais'go (*Gargantua* i *Pentagruel*). ani *Don Kichot* Cervantesa, ani nawet bajki Lafontaine'a nie zostały należycie lekką jego dłonią objaśnione. Jedynie *Roland szalony* Ariosta, poemat trochę żartobliwy, odznaczający się bogactwem figur a ubóstwem psychologii. a więc pokrewny duchem samemu rysownikowi, powiódł mu się jako tako. Biblia zanadto prostotą swą kłóci się z jego zamiłowaniem do dekoracyi, przepychu i naciągania, ażeby usprawiedliwiać mogła rozgłos, jaki mu zjednała.

Doré, na podobieństwo Aleksandra Dumasa syna, był nader wysokiego o sobie miemania. O współczesnych znakomitościach, jak np. o Meissonierze, wyrażał się z lekceważeniem. Próżnym był nad wyraz, skłonnym do reklamy, chciwym błahych odznaczeń. Niewielka zwłoka w uzyskaniu orderu Legii honorowej przyprawiała go o rozpacz. Pojęcie o wybitności miał wprost dziecinne.

Ciekawe są wspomnienia, charakteryzujące naturę jego zdolności. Będąc w Strasburgu, rodzinnem swem mieście, świadkiem festynu na cześć Guttenberga, zdołał później odrysować cały obchód ze wszystkimi szczegółami, nie pomyliwszy się ani co do strojów, ani co do pojazdów i innych akcesoryów, a miał wówczas lat ośm. Jako piętnastoletni uczeń liceum Karola Wielkiego zaopatrywał w duże rysunki *Journal pour rire*; we dwa lata później ilustrował już dzieła i drogę do nieśmiertelności miał utorowaną. Tak wcześnie spieszczony przez opinię za nic miał wszelkie poważniejsze studya. Tworzył z nadzwyczajną łatwością i niesłychanie wiele; chwytał pozory i kierował się instynktem a nie zgłębieniem odtwarzanych przez się przedmiotów i postaci. Gdy mu Paweł Lacroix radził zapoznać się z anatomią, odrzekł, iż widuje dosyć ciał ludzkich w szkole pływania; „zresztą— dodawał— mam w głowie wszelkie rodzaje mężczyzn, kobiet i dzieci.“ Pewnego razu dał się nakłonić do najęcia modelu; odpowiednio upozował go, rozebrał i wpatrując się weń, zaczął rysować... góry i jodły.

Desjardin przyznaje, iż stanowczy sąd o Dorém jest bardzo trudny. Niepodobna go wprawdzie nazwać szarlatanem, ale to pewna, że, pozostając jedynie na łasce „pomysłów“ i bardzo ograniczonej inteligencyi, wpadł prędko w melodramat. Był zawsze improwizatorem, a więc mógł na razie olśniewać, ale rychło następowało rozczarowanie i przesyt, wobec chronicznego braku prawdy, typowości, głębszej charakterystyki w jego utworach. Nam zdanie to najzupełniej trafia do przekonania, i choć dotyczy cudzoziemca, sprawia przykrość gorzkiej prawdy, bo mogłoby być rozciągniętem do rysownika polskiego, który dzisiaj we Francyi zbiera szybko więdnące laury, przejął się manierą Dorégo, jeno zabarwił ją odzieniem staroszlachetczyzny w rodzaju Miecznika z *Maryi* lub Soplicy z *Pana Tadeusza*...

Heine zupełny, Jak wiadomo z upływem trzydziestu lat od śmierci znakomitego poety — utwory jego przeszły na własność ogółu. *Prawda* podnosiła już fakt przedsięwzięcia przez Gustawa Karpelesa całkowitego ich zbioru. Okazuje się, że i krytyka niemiecka z należytem uznaniem przyjęła cenną publikacyę, która dzięki temu już po za tom czwarty (wszystkich ma być dziewięć) wybiegła. Po raz pierwszy dała ona publiczności słynne „Obrazy z podróży“ (*Reisebilder*) w całości, zaopatrzone nadto mnóstwem cennych uwag i objaśnień, dotyczących osobistych i mało znanych wydarzeń z odnośnej doby życia poety. Są tam prócz tego uzupełnienia do *Wędrówki górskiej* i *Kąpieli w Lucca*, budzące żywe zajęcie; wyborna przedmowa krytyczna wydawcy, zaznajamiająca z pierwowzorami Heinego oraz właściwościami jego prozy, wreszcie ocena dziejowego i literackiego znaczenia „Obrazów z podróży.“ P. Karpelesowi, szczeremu przyjacielowi polaków i nadal życzymy powodzenia w ogłaszaniu tego eleganckiego a przystępnego wydawnictwa.

Znoszenie jaj przez zwierzęta ssące. Na początku bieżącego stulecia rozeszła się pomiędzy zoologami europejskimi wieść o dwóch dziwnych formach zwierzęcych, przemieszkujących w Australii. Obie przypominać miały naszego kreta, zwłaszcza jedna z nich. mrówkojad (*echidua hystrix*) — krótkiemi, jakby do kopania przeznaczonemi łapami. Druga — kaczonos (*ornithoryvchus paradoxus*). uderzała nadto pewnem podobieństwem do ptaka. Mrówkojad odznacza się kolczatym, jak u jeża, pancerzem, kaczonos zaś pięknem futrem wydry obok błon pływackich pomiędzy palcami. Oba typy zaopatrzone są prócz tego w dziwaczne dzioby, kaczonos w podobny do kaczego, mrówkojad zaś w cienką, wydłużoną rurkę. Zewnętrzna ta analogia z rodzajem ptasim wraz z objaśnieniami krajowców australijskich dała powód do przypuszczenia, że oba gatunki nie rodzą dzieci żywych, lecz składają jaja.

Trudność należytego umieszczenia ich w ogólnej klasyfikacyi zwierząt mogła być usuniętą tylko przez dokładne zbadanie anatomiczne budowy mrówkojada i kaczonosa. Zgodzili się wszyscy na to, że mają one wiele wspólnego z ptakami i płazami, nie wszyscy jednak zaliczali je do ssących. Wprawdzie u obu gatunków odkryto gruczoły, mające jakoby służyć do karmienia młodych, lecz znakomity przyrodnik francuski, Geoffroy St. Hilaire dowodził uporczywie, iż wydzielana przez gruczoły te ciecz służy wprawdzie do karmienia, lecz nic wspólnego z mlekiem ssących nie ma. Wskutek tego radził oba typy wyosobnić w całkiem oddzielną klasę. Ogół zoologów stanowczo się temu sprzeciwiał. St. H. jednak szedł dalej, albowiem utrzymywał śmiało, że muszą one składać jaja, a gdy słynny ornitolog angielski Gould po powrocie z Australii odwiedził sędziwego badacza, przywitany został pytaniem: „No cóż, jednakże kaczonos składa jaja?“ Na odpowiedź zaś przeczącą odrzekł smutnie: „A więc nie!“

Aż do roku 1884 utrzymało się przeciwne zapewnieniom St. Hilaire'a zdanie. że wzmiankowane typy rodzą żywe dzieci. Umieszczano je zaś pomiędzy workowatemi z jednej strony, a nieznanymi przodkami płazowatych — z drugiej. W istocie anatomia porównawcza silnie twierdzenie to potwierdzała. I chociaż jedni uważali kaczonosa i mrówkojada za epigonów jakiejś prastarej grupy ssących. a inni, z Karolem Vogtem na czele, za odmianę całkiem swieżą — jednak nikt nie wątpił o płodzeniu przez nie żywego potomstwa.

Wprawdzie postrzegano okazy bardzo młode i niedojrzałe ale nie znaleziono w nich śladów pochodzenia od jajka. W tym względzie bezowocnemi pozostały podróże Bennetta i Kreffta, który za pośrednictwem gazet w Sydneyu przyrzekał 50 f. szt. nagrody temu, kto mu pierwszy przyniósłby jajko mrówkojada lub kaczonosa

Dopiero 2 sierpnia 1884 r. w dwóch odległych od siebie punktach ziemi ogłoszono odkrycie, które w kołach przyrodników i całego wykształconego ogółu wywołało olbrzymie zdziwienie; sprawcami jego byli dwaj całkiem niezależnie od siebie pracujący w Australii szperacze, oni to bowiem złożyli niezbite dowody, że wspomniane zwierzęta składają jaja.

W oddziale biologicznym brytyjskiego stowarzyszenia naturalistów w Montreal, stolicy Kanady, profesor Moseley odczytał w dniu owym nadesłany z Sydneyu telegram, że Caldwell w Queensland znalazł odnośne jaja i zauważył iż odznaczają się wielkiemi żółtkami. Na parę godzin przedtem Wilhelm Haacke, profesor wszechnicy jenajskiej, z którego pracy szczegóły niniejsze czerpiemy, przedstawił towarzystwu *Royal Society of South Australia* w Adelajdzie jajko, znalezione pod samicą mrówkojada, w dodatku wyjęte z dużego nieznanego dotąd worka na brzuchu matki.

Skorupa jaja jest dosyć miękka ale trudna do rozbicia. jak gdyby pergaminowa. Długość przeciętna około 15-tu, szerokość zaś około 13 milimetrów. Jaja tego rodzaju na podobieństwo składanych przez ptaki i gady i zgodnie z twierdzeniem Caldwella a w przeciwieństwie do jaj typowych ssących—zawierają dwa żółtka. Ciepłota krwi osobników jest znacznie niższą niż u ssących. I ta okoliczność wskazuje w mowie będącym zwierzętom miejsce przy samym pniu ssących, którego są jednostronnie rozwiniętą odroślą, ale zawsze odroślą.

Nadmienić wszakże wypada, że młody kaczonos bardzo wcześnie wykluwa się z jaja, przenoszonego zazwyczaj do jakiejkolwiek jamy; już w jego wnętrzu jest całkiem dojrzały i przygotowany do rychłego opuszczenia swojej celi.

Z mrówkojadami rzecz ma się inaczej. Dla przyjęcia jaja tworzy się u nich na brzuchu worek z wyższą o wiele, jak zauważył dr. Lendenfeld, od ogólnej ciepłotą. Opuściwszy go, młode bierze się do ssania gruczołów piersiowych i szybko wzrasta. Ostatnie dwa procesy zachodzą i u kaczonosów. W miarę wzrostu małego rośnie i worek, wkrótce jednak staje się dlań za ciasnym i wtedy ulega zanikowi. O ile z zebranych danych wnioskować można, worek mrówkojada stanowi peryodycznie zjawiającą się zmarszczkę skóry, który co rok na krótko przed złożeniem jaja, występuje, rośnie i potem znowu znika. Temu to faktowi należy przypisać opóźnienie w odkryciu ciekawych tych cech.

Kaczonos wiedzie żywot iście kaczy. Przebywa w stawach i wodach o powolnym biegu, z których szlamu wydobywa na pokarm różne zwierzątka. Na brzegu buduje sobie chody, służące za gniazdo. Wychodzi na żer w nocy.

Mrówkojad prowadzi również żywot nocny, a karmi się mrówkami i termitami. Zlizuje on długim swym, lepkim językiem mrówki z mrowiska; pomięszane z piaskiem i do języka przylgnięte, służą właścicielowi jego przez pewien czas za pokarm. Podczas suchego australijskiego lata mrówkojad zapada w rodzaj śpiączki.

Żaden z obu gatunków nie jest specyalnym mieszkańcem Australii. Kaczonosa spotkać można na przestrzeni od Tasmanii aż do Queenslandu. Mrówkojad nadto przebywa w zachodniej Australii, a także na Nowej Gwinei. Z rodziny ich, mającej ten rys wspólny, że jedynym i tym samym kanałem posługują się ekskrementa, mocz i wydzieliny organów płciowych—znane są jeszcze dwie formy kopalne mrówkojadów. Są to w porównaniu z odmianami dzisiejszemi, olbrzymy i odznaczają się bardzo wydłużonemi nogami. Z żyjących zaś zoologia zna jeszcze sześć odmian, podzielonych na dwa gatunki: mrówkojadowatych *echidua* i *acanthoglossus* oraz kaczonosowatych *ornithorhynchus*.

N.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Śród skał dziennikarskich. — Chwalebny zwyczaj szlachty polskiej. — Niepotrzebna obawa. — Śpiąca opinia. — Śliczna sielanka. — Panowanie występku. — Wzgardliwe kopnięcie. — Nowa teorya naszego szczęścia. — My i oni. — Zgniły zachód w zdrowej Słowiańszczyźnie. — Nasz program ekonomiczny. — Nowe linie dróg żelaznych. — Trzy samobójstwa. — Toast na cześć epoki. — Dobrodziejstwa życia.

Nie pomaga milczenie skał prasy, odbijających tylko krótkie, urywane echa targu.

ziemi polskiej w Poznańskiem; wrzawa wyprzedaży wzrasta, a fakt ohydny jak świder coraz więcej wwierca się w te skały, zmuszone ciągle go ujawniać. Tyle mieliśmy powodów i tyle chęci pozostawienia cieniów sromoty wyłącznie na komisyi kolonizacyjnej; tymczasem one rozpościerają się na tych, którzy mieli nie grząść w spodleniu, ale potężnieć w męczeństwie, skarga na cudzy gwałt coraz bardziej cichnie, a natomiast potępienia własnej podłości odzywają się coraz głośniej. Słyszymy język ostrej energii w ustach, z których zwykle snuła się miękka bawełna. Według *Gazety polskiej*, podczas obrad sejmowych nad wynarodowieniem Poznańskiego, „nikt zapewne z poznańczyków nie przypuszczał, aby największego niebezpieczeństwa należało się obawiać z polskiej właśnie strony.“ Wtedy grzmiało, jak to u nas zawsze grzmi, gdy przeciwko jakiejś chmurze walczymy chmurą słów. Ale burza trwała krótko. „Od pierwszej prawie chwili znalazła się pewna liczba ludzi niesumiennych, cieszących się przedtem reputacyą patryotów, którzy pospieszyli ułatwić komisyi kolonizacyjnej złowrogą jej robotę. Za danym przykładem poszli wkrótce inni, i teraz niepodobna już dłużej łudzić się mniemaniem, że ciężkie doświadczenie, jakie przebył naród w ciągu stuletniej niedoli, że ogromne ofiary, jakie nieustannie ponosił — uniemożliwiły na zawsze powrót tradycyj targowickich. Pociechę tę... zabierze teraz ze spokojnem sumieniem *szlachta polska*, sprzedająca znowu *dawnym zwyczajem* ojczyznę, tylko już tym razem nie ryczałtem, ale po kawałku.“ Piękny „zwyczaj“ ma ta „szlachta polska,“ która jeszcze dotąd, według wielu pism, półgębkiem jedynie wspominających o jej ostatnim egzaminie z patryotyzmu, powinna przewodniczyć narodowi i jedynie może go uratować! „Zaczyna ona poprostu przerażać ogół swoją niezaradnością z jednej, a niegodziwem samolubstwem z drugiej strony,“ a *Gazeta* dochodzi do wniosku, że „w Poznańskiem, ze stanowiska interesów krajowych, *mniej* są nawet szkodliwymi właściciele niemcy, bo tamci, jako obcy przybysze, nie mogą przynajmniej gorszyć ludu, gdy tymczasem swoi, którym on ufa (!) i których stara się naśladować (!), dają mu wzory demoralizacyi.“ Tym kamieniem nie rozgniatajmy sobie bezpotrzebnie serca. Lud nigdy nie „naśladował“ szlachty i nie „ufał“ jej, a jeżeli ona dotąd nie zdemoralizowała go w przeniewierstwie obywatelskiem, a zwłaszcza w handlu ziemią ojczystą, nie dokona tego i nowym „wzorem“ brudnego samolubstwa. „Kiedyż nareszcie — pyta doprawdy naiwnie *Gazeta* — skończy się ów niecny handel spuścizną narodową?“ Naturalnie wtedy, kiedy się kończy każdy... skoro zabraknie towaru lub nabywców.

Dla zatamowania „zupełnej wyprzedaży, niepoprawni marzyciele zaczynają „budzić opinię,“ która „zasnęła.“ Jak zaś twardo śpi i chrapie, dowodem nieporównana w swej wymowie sielanka, opisana przez *Dziennik poznański*: „*Mało kogo to dziwi lub boli* — powiada on — ten i ów *zazdrości* nawet dobrego interesu, na skurczeniu ojczyzny. Nieraz słyszeliśmy *życzenia*: „oby mu się tylko kolonizacyi sprzedać udało!“ Faktora polaka, który tu z poznania jawnie jeździ, przyjmują jakby posłannika *dobrej nowiny*. Wstyd go nie spali, bo opinia zasnęła... Jednych opanowała apatya, drugich *odstąpiła odwaga* wypowiedzenia prawdy. Stąd to winni otrzymują w milczeniu *rozgrzeszenie*, nawet *młodziki* z ław szkolnych tłomaczyć to *umieją*... Wyrozumiałość dla pozbywających się dobrowolnie ziemi ojczystej dla kolonizacyi jest u nas *bardzo wielką*. To też w *dobrym humorze* bawią się oni wśród pląsów przy kieliszku wina doskonale. We środę np. urządziło jakieś grono z Wągrowca i okolicy *zabawę* w lesie. Nie brakło na niej i tych, którym ze sprzedaży na kolonizacyę trochę jeszcze zostało grosza. Gdybyż sami przybyli, ale zaproszono ich, *przyjęto radośnie i darzono uprzedzającemi grzecznościami!..*“

Maluczko, a tacy będą ideałami cnoty obywatelskiej. Bo chyba już nie pozostał ani jeden szczebel na drabinie upodlenia. Jeszcze można się łudzić nadzieją zmiany lepszej, dopóki występek znajduje „rozgrzeszenie,“ dopóki w jego kierunku zwracają się „życzenia,“ dopóki „wyrozumiałość dłań jest wielką,“ nawet dopóki on „mało kogo dziwi i boli“; ale gdy niezarażonych moralnie „odstąpiła odwaga,“ gdy ten występek nietylko używa swobody, ale władzy, gdy panuje nad uczciwością, gdy ją przeraża i usta zamyka — trzeba zwinąć tęczę złudzeń, jak taśmę pajęczą, która nikogo z toni nie uratuje. Że zaś tu działa i ramieniem swem zasłania zbrodnię powien teroryzm — wątpić trudno. Spojrzmy po naszej prasie! Oprócz kilku pism, rozpalających ciągle i wyciskających piętno niesławy na czołach wytartych, reszta milczy lub przyjacielsko upomina zbłąkanych. Miny kwaśne i strapione, od czasu do czasu wyrwie się cierpkie słowo lub niechętne szemranie, ale wylewy odrazy tamuje respekt przed bożyszczem opinii — przed „szlachtą,“ która już przestała „podtrzymywać literaturę,“ ale w sercach wydawców tli ciągle nadzieja odzyskania łask kochanki. Niejeden Jowisz dziennikarski chwyci za piorun, ale spojrzawszy na spis prenumeratorów, opuści mściwą rękę i tylko westchnie. Długo jeszcze, bardzo długo szlachta i księża będą u nas korzystali z bezkarności i przywilejów, nie prędko opinia zastosuje do nich surową krytykę. Gdyby nie ta demoralizująca toleracya, podniósłby się w całej prasie polskiej jak uragan okrzyk zgrozy na Judaszów poznańskich, którzyby nie jednostki cnotliwe, ale ich pozbawił odwagi. Nie grzeszmy wykrętami „przyzwoitości,“ a chociaż nawet ona ucierpi na szorstkiem słowie, zyska moralność i patryotyzm narodu. Wierzcie mi, nie jestem fanatykiem, umiem czcić siły i zdrowie tej gałęzi drzewa społecznego, znam wartość jej soków zdrowych, całuję z podziwem jej kwiat, ale ostatnie zrobaczywienie tego konaru jest rzeczywiście „przerażającem,“ nietylko politycznie i moralnie. W Poznańskiem panuje cholera obywatelska, zaraza straszna, jakiej od stu lat nie pamiętamy. Umieramy w niej zhańbieni, a wstrętne pokrzywione trupy kopie niemiec ze wzgardą, mówiąc:

— Poco im tak drogo za ojczyznę płacono, kiedy sprzedaliby daleko taniej (p. Nordmann w *Polit. ökon. Vierteljahrs.*)

P. F. Wesołowski, jak gdyby nic o tem nie słyszał, że szlachta polska wyprzedaje najgłówniejszy warsztat pracy narodowej, ostrzega nas w *Gazecie rolniczej*, ażebyśmy, broń Boże, nie zakładali fabryk na wzór Zachodu, chociaż „popycha nas do tego nieubłagana siła konieczności.“ Bo „masy ludności fabrycznej żyją tam bez jutra (!), bez religii, są ciemne pod względem moralnym i umysłowym, nauki nie znają i nie pragną;“ „robotnik fabryczny za granicą nie jest obywatelem kraju; mieszka nędznie na strychu lub w suterenach wilgotnych.“ Natomiast nasz robotnik rolny jest ukształconym, uczciwym, nie kradnie, nie rozbija, mieszka w czystych i dobrze odwietrzanych domkach... Tylko spójrzcie na niego, gdy w kapocie wełnianej z perkalowymi rękawami i płóciennym przodem (co za bogata rozmaitość tkanin!), boso (dla zdrowia), w czapce, która kiedyś służyła do umundurowania feldfebla, studenta lub inżeniera, patrzy, rozwarlszy wymownie usta na przebiegający pociąg kolei żelaznej i widzi w nim moc czartowską, lub gdy ruble papierowe wymienia na blaszki używane do gry w karty i chowa je jako dukaty, lub gdy pozywa „pana“ do sądu za to, że na jego koniczynie zdechły mu tejemnie w nocy pasione woły, lub gdy obłamuje drzewa owocowe, tworzące osłonę i ozdobę gościńca... Co to za „szlachetny“ okaz! Z drugiej strony spójrzcie na zdziczałego robotnika fabrycznego we Francyi lub Niemczech, który czyta gazety, zawiązuje stowarzyszenia, posyła do sejmu swych przedstawicieli, ogarnia uwagą świat cały... Ależ to zwierzę — prawda? Przebłagajmy więc „nieubłaganą konieczność“ i uprośmy, ażeby nam oszczędziła tego upadku. Nie należy więc zakładać fabryk? Tu tkwi sęk, w którym p. W. jest już nietylko ekonomistą szczególnym, ale nawet niezrozumiałym. Odmalowawszy bowiem wszystkie okropności przemysłu wielkiego, nie wygania go z kraju, chce jedynie uczynić „rolnym.“ A więc wyrabiajmy: piwo, cukier, napoje spirytualne, oleje, kotły, zapałki itd., ale niech to będzie przemysł rolny, wiejski, zresztą, nie wiem jaki, aby tylko nie „zachodni.“ Wyraźnie zaś i stanowczo za „plagę ekonomiczną“ uważa „fabryki olbrzymie, przerabiające materyały zagraniczne.“ Tak np. zaznacza, że „przędzalnie i manufaktury bawełniane dają nam *lichy* perkal zamiast dobrego własnego płótna.“ Uf! jak tu sobie poradzić z całą tą filozofią rodzimą przy 20 stopniach ciepła. Spróbujmy, zawezwawszy do pomocy rozsądek czytelnika. P. W. tedy utrzymuje: 1) że nasz robotnik rolny jest inteligentniejszy i uczciwszy, niż fabryczny; 2) że „my, słowianie nie życzymy sobie takiego dorobku cywilizacyi zachodniej,“ jakim jest przemysł fabryczny; 3) że jednak powinniśmy jego rolę powierzyć przemysłowi drobnemu, oraz większemu rolnemu i wiejskiemu; 4) że ten nasz przemysł religijny, światły i moralny, chociaż musi być fabrycznym, czy to dzięki wpływom świeżego powietrza, czy też dzięki innym jakimś czynnikom ochronnym, zabezpieczy nas od klęsk fabrycznych i nie wytworzy proletaryatu; 5) że przeróbki surowych płodów obcych winniśmy się zrzec i albo (domyślam się) nie używać ich (np. perkalu) wcale, albo kupować zagraniczny; 6) że chłop będzie tkał płótno i strugał grzebienie, chociaż przemysł wielki, fabryczny, pracą maszyn obsługiwany będzie go ustawicznie pokonywał tanością swych wytworów. Oto są słowa głęboko pomyślane ostatniej ewangelii ekonomicznej. Niewierzących odsyłam do nr. 29 *Gazety rolniczej*.

Co począć z drogami żelaznemi, które istnieć mogą tylko dzięki przemysłowi fabrycznemu? Znieść je? Jak na złość otworzono u nas dwie nowe linie: siedlecko-małkińską i brzesko-chełmską. Trzej delegaci prasy — nie wiadomo po co wysłani i skazani na 48 godzinną kozę w wagonie—opowiadają p. Wesołowskiemu ciekawe szczegóły o dobrobycie i szlachetnym wyglądzie tego ludu, który „na szczęście ma jakiś wstręt widoczny do fabryk.“ Grzbiet, poetycznie łachmanem przykryty, zgiął mu się wdzięcznie, twarz blada nie prześwieca bezbożną wiedzą, bose nogi marzą o przyszłych zdobyczach białoskórniczych, skóra zmarszczona pożółkła w dostatku — słowem śliczne postacie. A ich tło? Na całym widnokręgu nie sterczy ani jeden komin fabryczny, nie zieje zepsuciem ani jedna otchłań przemysłowa — dopiero może kolej wniesie tam „plagi“ i zgubne dorobki cywilizacyi zachodniej. Gdyby delegaci prasy nie musnęli okolicy zaspanemi oczami z okien wagonu, lecz zbadali ją (jak może należało) dokładnie, pocieszyliby „nas słowian“ jeszcze bardziej.

W Białymstoku, wychowanica petersburskich kursów żeńskich, R. Dworzecka otruła się zawiedziona w miłości; nieopodal tego miasta, we wsi Wasilkowie, utopiła się młoda lekarka, Lublińska, która po otrzymaniu stopnia doktorskiego w Bernie, chciała go potwierdzić egzaminem w Petersburgu i nie wytrzymała próby z fizyologii. W Nowomińsku rzucił się pod koła pociągu student uniwersytetu warszawskiego Żwan. Aż trzy wypadki na poparcie wniosku, że wyższe zakłady naukowe są również otchłaniami, których my, słowianie, strzedz się powinniśmy. Ha, trudno! Duch czasu stanął przy biesiadnym stole obecnej epoki, uja-

kielich i wzniósł toast: niech żyją głupi! Niech żyją... Dla mądrych: cyankali, toń rzeki lub koła lokomotywy... Rzecz dziwna, że tak niewielu korzysta z tych dobrodziejstw życia...

Poseł Prawdy.

POD MIKROSKOPEM.

I.

Miałożby to być prawdą, że — jak mówi Morison — *„civitas Dei* is a dream of the past" — królestwo boże jest marzeniem przeszłości — u nas — u nas? Niestety, wiatrak obraca swe skrzydła na płaszczyźnie pionowej, a koło, mielące ziarna, kręci się na poziomej. Tak język z umysłem: pierwszy odbywa ruchy inne, a drugi — inne. Wierząc językowi, możnaby przypuszczać, że, z wyjątkiem garstki spróchniałej, wszyscy ociekają pobożnością, jako drzewa smolne żywicą. A jednak...

Malarze pokojowi chcieli przyozdobić ołtarz swej kaplicy w kościele Bernardynów nowym obrazem. Zebrali 1000 rs. i udali się do Matejki, który zażądał rs. 4,000. Nie posiadając takiej sumy, wyznaczyli konkurs z nagrodą 600 rs. Dwa szkice okazały się znośne, ale nie przyjęto żadnego. Jeden np. przedstawiał św. Łukasza w stroju beduina. Pierwsza licytacya spełzła na niczem, ostatnia — jeżeli będzie — zbogaci sztukę... częstochowską. Do współzawodnictwa bowiem stanęli zapaśnicy dziesięciorzędni. Cała ta sprawa wogóle zajmuje tylko przedmieście artyzmu, malarzów pokojowych. Arystokracya pędzla trzyma się zdala od tego turnieju ludowego. A gdzież ogień, który rozpromieniał Rafaelów, del Sartów, Murillów i który połyskuje u nas dotąd na... końcu języków? W umysłach i sercach zgasł. Ogrzewa jeszcze kolumny pism peryodycznych, ale obłuda musi weń dmuchać całą mocą swych płuc. Tak, mości panowie, od dzieciństwa w habitkach chodzący, udający religijność, uginacie się pod flagwią, w której ma być wino, a jest pustka. Gdybyście tem byli, czem się mienicie, nie zostawialibyście konkursu na obraz kościelny drobiowi artystycznemu. „Djabli wzięli *spiritus*, pozostała tylko *flegma*." Żaden z was się nie spieszy z ofiarowaniem swego talentu Bogu...

Toż samo w muzyce. Ogłoszono konkurs na kompozycyę religijną. Również upadł i dźwigną go siły podrzędne. I znowu pytać należy: gdzież się podziała owa „przenikająca cały naród" pobożność, której jedynie „garstka" nie odczuwa? Czemuż ona w obu tych wypadkach tak wywietrzała? Może tylko tak szumi we frazesie, jak powietrze w muszli? Należy mniej ufać takim szumom i uważniej wpatrzeć się w rzeczywistość, która często wygląda raczej „pozytywistycznie," niż prawomyślnie.

Jest wszakże sposób wzbudzenia religijności w naszych artystach. Moskwa potrzebowała plafonów, zapłaciła dobrze i p. Siemiradzki je wymalował. Zapłaćcie, a będziecie mieli: i Madonny, i Łukasza, i wszystkich świętych, i oratorya — wszystko, pożem z dumą zawołacie: oto jaki duch religijny przenika naszych malarzów i muzyków. Na czułe słowa *Przeglądu katolickiego* orły się nie zwabią, przylecą skowronki i trznadle.

Posłuchajcie lub nie — tej rady, ale zapamiętajcie wynik obu konkursów, jako znak nastroju społecznego.

II.

Istotną ciekawość budziło pytanie, komu krakowska Akademia Umiejętności przyzna palmę i nagrodę z zapisu Barczewskiego za najlepszą pracę drukiem ogłoszoną w roku ubiegłym?

Jednomyślnie przyznano pierwszeństwo dziełu Kalinki (*Sejm czteroletni*), ale ponieważ autor umarł, więc zaczęto rewidować sakwy żywych. I orzeknięto: O. Balcer: *Geneza trybunału koronnego* — spostrzeżenia bystre, metoda ścisła, wykład szczegółowy, ale wiele powtarzań i rozwlekłości.

P. Chmielowski: *Adam Mickiewicz*. Pierwsza to i dokładna biografia, ale jakkolwiek można z niej poznać wszystkie drobiazgi życia poety, jego samego dojrzeć trudno. Niezmierna oschłość i trzeźwość sądu tak wielka, ze się wydaje sztuczną. Skutkiem tego jest to raczej zebranie, niż opracowanie materyału.

L. Dębicki: *Puławy*. Rzecz napisana barwnie i zajmująco, ale bez podstawy naukowej.

S. Tarnowski: *Pisarze polityczni XVI w.* Dzieło pożyteczne, jedno z najlepszych w ciągu lat kilkunastu, ale stanowi raczej program dla przyszłych studyów, niż pracę wykończoną.

K. Strączyński: *Dawne monety polskie*. Książka cenna, ale ostatnia jej część oparta na badaniach cudzych.

A. Pawiński: *Polska w wieku XVI pod względem geograficzno-statystycznym*. Jest to dopiero część materyałów opracowanych krytycznie.

T. Korzon: *Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta*. Olbrzymi zasób materyału, źródła wiarogodne, zużytkowanie ich umiejętne. Ale zdolność kombinacyjna słaba, stąd nieraz wnioski nieudowodnione. Nadto nieostrożne korzystanie ze źródeł wartości wątpliwej (pamiętniki).

Okadziwszy tych autorów, przysądzono nagrodę Hubemu za *Prawo polskie w XVI w.* Rzeczywiście praca to wielkiej zasługi, chociaż niemal każda z nich ma swoją wagę. Ale czy koniecznie trzeba było najgłówniejszy zaciąg powołać z Krakowa? Co między wybranemi robiła książka p. Dębickiego *Puławy*, zdolna zająć czytelnika powierzchownego, lecz niezdolna stanąć w pierwszym szeregu prac naukowych? Na rok przyszły może do konkursu stanie paszkwilo-panegiryk, odbity z łamów *Czasu* o dziennikarstwie warszawskiem?

III.

Polacy w Ameryce tak się... kłócą, że aż odgłos ich waśni dobiega do dzienników naszych. Powodem jest zwykle... kościół. Parafie chwytają się za czuby. O to mniejsza— tak robiliśmy zawsze i wszędzie. Ale *Kuryer warsz.* dopisuje uwagę: „Gdyby w *Poznańskiem* (!) znalazł się Parnel, któryby żywioły polskie w Ameryce skupiał, ukazał im cel wspólny, niezawodnie i 100 milionów komisyi kolonizacyjnej znalazłoby skuteczną przewagę." W Poznańskiem—Parnel! Wyżej mimowolny humor wznieść się nie może. To lepsze, niż: między kawkami — przepiórka. No, ale jeżeli już tam ma być koniecznie Parnel, to jedynego kandydata widzę w p. N., dziedzicu dóbr Goreczki. Sprzedał on swój majątek komisyi kolonizacyjnej. To samo zrobiło wielu? Przepraszam — ten nietylko sprzedał, ale napisał w *Kuryerze warsz.* list, usprawiedliwiający takie postępowanie i ucieszający „wszelkie rezonowania dziennikarskie o patryotyzmie, kurczeniu ojczyzny" — i tym podobnych brednaich. Oto macie poznańskiego Parnela! Tu zakładać się można: kto wart więcej, rabusie, czy ich adwokat? Stawiam za N. — Parnelem — i wygram, bo on, prędzej czy później, wyjedzie do Ameryki i szukać go będą, a nie znajdą. Choć zginie, nie zginie, bo on „musi" to robić, czego „rezonowania dziennikarskie" uczciwym ludziom czynić nie pozwalają.

IV.

Bez Bujwida, Nenckiego i innych badaczów wody warszawskiej, prosty wypadek wskazał najlepszą studnię. Mieści się ona podobno przy ulicy Pańskiej. Robotnik, chcąc ją naprawić, spuścił się wewnątrz. Odurzony „gazami," spadł na dno. Próbowano go ratować, ale każdy z odważnych doznawał zawrotu głowy. Wreszcie osłabiono „gazy" i biedaka — naturalnie nieżywego — wydobyto. Jaką być musi woda z takiego dołu, którego wyziewy zabijają ludzi — bez analizy odgadnąć nie możemy. Że my wogóle żyjemy — jest to niezrozumiały kaprys natury, która widocznie chce pokazać, ile wytrzymać zdolny organizm człowieka. Posyłasz dziecko do szkoły i poisz je wodą ze studni pytyjskiej — pada? Gdzie tam! Blade, nędzne, ale żyje. Stalowe ustroje.

Gezyasz.

NA WIDNOKRĘGU.

Piórowstręt szlachecki. — Kto lepiej pojmuje obowiązki obywatelskie i potrzeby moralne. — Wiszący ratują tonących. — Pożyteczna broszurka. — Poszkodowani przez grad i Towarzystwo gradowe. — Niema już niemców na Wołyniu! — Rozstrój pedagogiczny w Łęczycy. — Zwycięstwo nad teutonem. — Wystąpienie chłopów *viribus unitis*. — Pogrom włościan przez dworskich rycerzów.— Handel dziećmi.— Co się robi dla chleba?

— Pan tak znasz doskonale stosunki miejscowe, dla czego nie zużytkujesz tego w korespondencyach do gazet? — pytałem jednego szlachcica.

— A jakieby licho kazało mi pisać? Człowiek napoci się, namęczy za cały dzień, nakrzyczy na parobków i chłopów; gdzie wtedy głowa do pisania?

— No, przecież choć jeden dzień w miesiącu spokojny i swobodny znaleźć można.

— Niema, panie, zawsze głowa zajęta kłopotami gospodarskimi. Zresztą dyabli wiedzą, jak się tam do tego pisania wziąć. Ostatecznie nie zawsze przybory się znajdą. Pióro zaśniedziałe, atrament wyblakły. Jeszcze kwitki chłopom lub kartkę na bibule do Judki można napisać, ale wy, literaci, wybredni, dla was trzeba elegancyi.

Takie rozmowy nieraz mi się zdarzało z obywatelami prowadzić. Wszystkie podobne.

Korespondencye z prowincyi przeglądam z ciekawością, rzadko z zadowoleniem. Nie można narzekać na ich brak, czasem cztery lub pięć w jednym numerze się znajdzie, ale, niestety, nie zawsze one oświecą czytelnika o danej miejscowości. Często jednaki ton we wszystkich, wyrzekanie na ciężkie czasy, „ogólną stagnacyę." Dalej kilka urwanych faktów, powiązanych ogólnikami, cokolwiek o urodzajach, pogodzie i więcej nic. Na tytuł można nie zwracać uwagi, wszystko jedno, czy z lubelskiego, kieleckiego, piotrkowskiego itd. Pisma warszawskie posiadają lepszych korespondentów, bo stali otrzymują honorarya. Prasa prowincyonalna żywi się żebraniną; co łaska, spadnie jej z pod pióra ochotnika. Obok tego charakterystycznie zaznacza się *Gaz. świąteczna*. Zawsze obfituje w listy... chłopskie. „Mam ręce do pracy, a chcę donieść, co słychać, bo widzę, że z rozmaitych stron nadsyłają ci, panie pisarzu, wiadomości, których czytanie przynosi pożytek, więc ja też postanowiłem tak samo robić, jak inni." Szczupły zakres spostrzeżeń, ale po przeczytaniu korespondencyi można wiedzieć, czego tam brak, co dokucza, jakich zmian ludzie pragną. Kmieć, liczący się z każdym groszem (dosłownie), nie żałuje siedmiu kopiejek na markę, aby list wyprawić do swojej gazety. To „bydło ciemne i niesforne" lepiej pojmuje obowiązki obywatelskie i potrzeby moralne, niż „najszlachetniejszy gatunek rodzaju ludzkiego. „Wybrani" z rasy

uprzywilejowanej bywają apostołami, ale wtedy, gdy im podstawa z pod nóg się wyśliźnie. Zawieszeni w powietrzu podają środki ratowania tonących, a ci, którym cierpną pięty i łydki od niepewności gruntu, patrzą z zachwytem na kaznodziejów prawiących o melioracyach. Aureola czasem się rozwiewa pod gradem pocisków wytrawnego specyalisty. Ta chęć ocalenia innych przynosi niekiedy istotną korzyść. Niedawno p. Ryszard Kern opracował i wydał dziełko: „Jak mamy w naszych stosunkach gospodarować na roli i jakie możliwe korzyści ciągnąć z gorzelnictwa, jako jedynej dźwigni rolnictwa.“ Praca ta opiera się na praktyce i dokładnem zbadaniu miejscowości, skąd autor pochodzi. Przy wypędzie wódki w 3 i 6-miesięcznych peryodach i utrzymaniu 100 sztuk opasów, można osiągnąć tyle nawozu — powiada p. K. — że się nim zasili od 200 do 300 morgów ziemi, nie licząc korzyści z samego produktu — spirytusu. W okolicach Łucka kilkoletnie zastosowanie tego środka w majątkach o glebie urodzajnej (Cumań, Moczulec), postawiło je dzisiaj już w takiej kulturze, iż rzepak i pszenica znakomicie się rodzą.

Obywatelstwo zrozpaczone systematycznem niepowodzeniem coraz chętniej garnie się do wszelkich ulepszeń, obiecujących poprawienie bytu, niestety, rzadko z pomyślnym skutkiem. Tu i owdzie tworzą się stowarzyszenia ziemiańskie, wszakże ledwie wieść o nich zdoła po kraju się roznieść, już bieży druga o rozchwianiu się spółki. Jest to rys dziedziczny, którego żadna chyba siła nie zatrze. Obok mnóstwa marnotrawnych są ogledni, dbający o swą przyszłość, lecz i tu szkopuł; otucha zamiera pod wpływem nieprzyjaznych podmuchów. Na takie podmuchy najbardziej są wystawieni ziemianie w kraju południowo-zachodnim. Istnieje towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia płodów rolnych od gradobicia. Główny zarząd jego w Moskwie, dla prowincyj zaś południowo-zachodnich filia w Kijowie, agentura w Klewaniu. Dobrodziejstwo to wielkie! Dość opłacić premium, ażeby patrzeć ze spokojem i pewnością siebie, choćby na bryły lodu spadające z nieba. Alboż Towarzystwo nie wynagrodzi strat? Któżby wobec tak pięknych widoków nie ubezpieczył swych płodów rolnych? Każdy rad spieszył. Szlachcic zasypiał spokojnie, choć tam huczało i szumiało na dworze. Naraz nadbiegły chmury złowrogie, tu i owdzie uderzył grad, zniszczył zasiewy. Właściciele wcale tem nie strwożeni, dają znać agentowi w Klewaniu, prosząc o przybycie na miejsce i sprawdzenie szkody. Przedstawiciel zbawionnej instytucyi odpowiada, że do niego należy tylko pobieranie opłaty, co zaś do oglądania, potrzeba zwrócić się do Kijowa. Poszkodowani idą za daną wskazówką. Mijają tygodnie, odpowiedzi niema. Tymczasem ślady gradobicia na zbożu zielonem, zaledwie kłosującem, zrazu bardzo widoczne, stopniowo się zacierają przy dojrzewaniu. Przychodzi czas zbiorów, ziemianie w rozpaczy, dłużej wyczekiwać nie mogą, zbierają to, co pozostało. Składka poszła na marne, duch upadł pod ciężarem klęski. Nadal szlachcic woli się poddać opiece bożej, niż instytucyi, która zeń srodze zakpiła. Profanem jestem, a więc nie rozumiem taktyki owego Towarzystwa. Sądzę, że wolno mi tylko robić dziwaczne przypuszczenia. Otóż kto wie, czy ta dobrodziejka obywatelstwa nie chce się wzmódz zdobyciem odpowiedniego funduszu, dla tego boi się wypłacać straty, ażeby się zbytnio nie wycieńczyć. Potem, gdy poczuje potęgę w sobie, może stanie się hojną panią w wynagradzaniu krzywd przez naturę zrządzonych. Wszak na to, iżby ludzkość nie cierpiała, potrzebne są ofiary z ludzi... Nie zrażajmy się; trzeba ze spokojem filozoficznym patrzeć na takie sprawy. Ot, bierzmy przykład z doskonalszych i doświadczeńszych, którzy są zdolni do unicestwienia siebie samych i... swego sumienia, byle tylko bytu nie zachwiać. Podniesiono wrzawę, że mnóstwo niemców na Wołyniu. Gdzie tam!.. niema ich wcale. Wprawdzie byli „jacyś,“ którzy przed ukazem śpiewali: „Wacht am Rhein,“ ale dziś pocieszający objaw daje się śród nich spostrzegać, bo już śpiewają: „Kde domow moj!“ Dowód to jedności wielkiej. Przydałaby się ona i w Łęczycy, gdzie prywatne progimnazyum „zachwiało się w swem istnieniu“ pomimo zezwolenia ze strony władzy edukacyjnej i opieki, a nawet dobrych chęci interesowanych mieszkańców i *znacznej ofiarności*. Szkoła ta z wielkim pożytkiem istniała lat kilka, dziś kona z powodu rozstroju w ciele... pedagogicznem. Smutne to, jeśli ci, którzy wzmacniają i prostują latorośle, sami się koszlawią. Chwiejemy się i... rozchwiewamy. Jest to u nas zjawisko tak powszednie, że z upragnieniem wyszukuję dowodu jakiejkolwiek „energii.“ Znalazłem w okolicach Chełma i podziwiam. Chłopi wspólnie z dziedzicem zwyciężają kogo? Niemca!! Kolonista wybudował młyn na rzece i podniósł poziom wody tak wysoko, że zostały zalane łąki okoliczne. Miejscowy właściciel zażądał zjazdu na miejsce komisyi powiatowej; wszakże nieby nie zrobił bez udziału włościan, którzy wszyscy „jak jeden mąż“ wystąpili. Próżno przebiegły teuton straszył prawem i kosztami; chłopi nie zeszli z gruntu póty, aż wykopali kanał odprowadzający wodę wezbraną. Miarowy łoskot młyna, niepokojący okolicę, umilkł, a z nim ucichła buta niemiecka. „Gdyby ludzie, dbający o dobro swoje i cudze — woła korespondent *Gaz. polskiej* z powyższej miejscowości — mieli więcej odwagi cywilnej i ochoty (?), niejedna sprawa dałaby się *viribus unitis* załatwić.“ Niestety, muszę kłam zadać tej pięknej sentencyi. W pewnej miejscowości stepów południowo-ukraińskich zjawiło się przed mieszkaniem wyższego urzędnika przeszło 200 włościan. Dwóch odważniejszych parlamentarzy zaniosło skargę ustną na swego „starszynę.“ Do ich wsi przylegają wielkie obszary ziemi wspólnej, z której dawniej korzystali, nie doznając niedostatku. Nowy, wybrany z ich grona zwierzchnik, wprowadził pewne zmiany: kto mu się nizko pokłonił i okazał swoją miłość w sposób nieidealny, ten dostał lepszy i większy kawał gruntu, „hardzi“ zaś i „nieczuli“ — drobne i jałowe działki. Skutkiem tego nędza zagnieździła się we wsi. Przedstawiciel wyższej władzy uwzględnił prośbę. Chłopi uspokojeni ponieśli „papier urzędowy“ do „wołosti.“ Kiedyś tam znowu dostatek i sprawiedliwość zakwitnie, zanim jednak sprawdzone będą „niedokładności,“ minie czas orki pod oziminę, pod którą grunty jeszcze nie rozdane. Oprócz ustnej gromadnej skargi, posypały się z tejże wsi pojedyncze; utyskiwano w nich na ściąganie podwójnych podatków i wiele innych podobnych drobnostek...

Chciałem przebyć wspaniałe stepy i jary, aby uciec od nędzy i niezgody ludzkiej, a poszukać takiej krainy, gdzie szczęście i spokój panują. Droga prowadzi przez okolice Tulczyna. Widzę obywatela i wiernej służby wielką zgraję. „Pan“ marszczy się i zżyma, bo włościanie od lat kilku spasają jego lucernę. Pojadą cichaczem na nocleg, popasą konie i nabiorą wybornej aromatycznej trawy pełne wozy. Szlachcic (?) (nie mogę dojrzeć, co ma na sobie: czamarę, chałat, czy strój fałdzisty) wybuchnął nareszcie całem piekłem gniewu. Oj, straszny on! Zebrał przed wieczorem 50-ciu służby i kazał urządzić zasadzkę. Biją serca wiernej czeredzie, na widok piętnastu chłopów zsiadających cicho z wozów na łąki; chabety spracowane chrupają smaczną trawę. W tem wypada konnica, włościanie przerażeni rzucają się w rzekę. Dano ognia. Pięciu zbiegów padło na miejscu. Nieopodal na własnym gruncie spał kmieć snem kamiennym, a obok wywłoki jego skubały trawę. Rycerze „dworscy,“ zagrzani walką i zwycięstwem, wpadli na śpiącego biorąc go za głównego winowajcę i tak zbili, że nieszczęśliwy, zanim zdołał ze snu się otrząsnąć, ducha wyzionął. Straszny obraz, krew się w żyłach ścina. Zamykam oczy, bo się boję dojrzeć twarzy „obywatela.“ Kto on taki? Pocieszam się... *Odeskij Listok* nie wymienił jego nazwiska...

Gdy się do nędzy przyłączy ciemnota i nierozgarnięcie umysłowe, cierpienie ludzkie przechodzi granice pojęcia tych, co z wysoka i *jasno* patrzą na tarzających się w mroku „maluczkich.“ Korespondent gazety *Wołynia* w *komiczny* sposób opowiada cichy dramacik chłopski, rozdzierający serce każdemu altruiście. Biedak, obarczony siedmiorgiem nieletnich dzieci, zaprzęga do wozu trzęsące się z zapadłymi bokami klacze. Naokoło kręcą się dzieciaki. Na płocie oparł się zamożny, bezdzietny sąsiad i patrzał na robotę nędzarza.

— Dokąd to?

— Na jarmark! Jadę sprzedać dzieci.

— Głupi — czemuż na jarmark? Lepiej sprzedaj we wsi..:

— A komu?

— Choćby mnie?

— Dobrze, kup!

— Ile?

— A co dasz?

— Jeśli chcesz, bierz dwa złote.

Długo się targowali, nareszcie biedak oddał *za dwa złote* chłopca pięcioletniego i córeczkę czteroletnią. Minęło kilka tygodni. Ktoś z *hramociejów* powiedział, że według prawa sprzedane dzieci muszą mieć od ojca po morgu ziemi ornej. Zamożny sąsiad napastuje biedaka, ten zrozpaczony żąda odprzedania napowrót dzieci. Przebiegły chłop zasłania się prawem, targuje, wreszcie proponuje wykupienie dzieci za dwa ruble i postawienie *mohoryczu*. Ojciec zgadza się na to ze łzami. Ale nowa bieda, w domu ani grosza.. Nędzarz miał jedyną świnię, sprzedał ją i wykupił drobiazg, na który ze wstrętem patrzy, za to, że mu tyle cierpień przyniósł.

Drogomir.

Z Płocka. Pewien wędrowny artysta, w oknie jednego z tutejszych hotelów, wystawił karykaturę własnego pomysłu, przedstawiającą Bismarka i papieża, pieszczących się z sobą.

Nie wchodząc w artystyczną ocenę akwareli, przedstawimy jej treść: myślą artysty było uplastycznienie kanclersko-papiezkiego przymierza. Leon XIII w białych pontyfikalnych szatach, z karmazynową piuską na głowie, obok Bismark — w urzędowym stroju, błyszczący nieśmiertelną łysiną, strojną w charakterystyczne czy fantazyjne trzy włosy—trzyma poufale wpół godnego sąsiada, który znów filuternie muska go po brodzie. Obaj dostojnicy pochyleni ku sobie głowami, tak, że stykające się ich świetlne czoła zbliżyły do siebie po parze szyderczych i kokietujących oczów. Mało kto dostrzegał ten obrazek, umieszczony w parterowym oknie pracowni.

W tem ujrzeli go nasi augurowie i postanowili uczynić grzmot. Starszy, jako ostrożny, poprzestał na tem, że udał się do rządcy hotelu, a nie zastawszy go w domu, wypowiedział, wobec służby miejscowej i przypadkowych słuchaczów, kazanie na temat piekła, szatana, heretyków, wszeteczników itp. — i wkrótce zażądał wyrzucenia szatana i dzieł jego z hotelu.

Niestety! rezultat wymowy okazał się prawie żaden, bo bezecna karykatura z okna uprzątniętą nie została... a zatem widocznie i dyabeł wystraszyć się nie dał.

Ten opór, okazany władzy duchownej, pozbawił chrześciańskiej cierpliwości jednego z młodszych augurów. Świętobliwy a krewki ten mąż, chwalebną żarliwością gnany, wpadł z impetem do mieszkania malarza, i porwawszy z okna karykaturę, wrzasnął:

— Co to jest!!?

— To jest — odrzekł spokojnie artysta — karykatura mojej roboty do sprzedania...

— To jest obraza religii... kościoła... Boga!..

— O! o! mój księżulku, zawiele hałasu — skądże znów aż religii lub Boga!.. Ja zażartować chciałem tylko ze złego sługi bożego, który...

— Zdjąć natychmiast oburzający wizerunek!...

— Ależ księżulku! zastanówmy się i nie awanturujmy. Ot, lepiej, jak przystało każdemu z publiczności, odwiedzającemu łaskawie moją pracownię, objaśnij mnie, szanowny księże dobrodzieju, co jest właściwem twojem życzeniem?

— Sprzątnąć!.. zniszczyć!.. spalić..— wrzeszczał kapłan coraz bardziej rozjątrzony—poczem rzucił obrazek, trzasnął drzwiami i poleciał z takim rozpędem, że służba hotelowa i przechodnie na ulicy mniemali, iż samego dobrodzieja kusy opętał...

Nastąpił skutek łatwy do przewidzenia — awantury i hałasy zrobiły malarzowi reklamę i obecnie rozprzedaż karykatur idzie świetnie.

Zawsze ci sami!

PRASA ROSYJSKA.

Sowr. Izwiestia, pomieściwszy list jakiegoś „zachodniego Słowianina," na kanwie jego rozumowań taki haftuje wywód polityczny:

„Polacy są narodem, który się już przeżył, a czechów jest zanadto mało i przytem są zacieśnieni przez niemców. Ale z tego nie wypływa jeszcze bynajmniej, aby jeden i drugi z tych narodów nie zasługiwał na uwagę, ale tylko, że ani jednego, ani drugiego nie czeka wielka i przytem *polityczna* przyszłość. O tem tylko była mowa, a autor zupełnie potwierdza nasze zdanie, skoro zgadza się na to, że szlachta istotnie się przeżyła. Skoro zaś ona się przeżyła, to w imię czegóż mogłaby się odrodzić Polska, skoro nie ma innego ideału prócz szlachecko-katolickiego? Gotowi jesteśmy przypuścić wraz z zachodnim Słowianinem, że sam lud polski się nie przeżył: ale nie przeżył się dlatego tylko, że nie żył. Czemże jednak będzie żył, to jest czem wykaże swoją indywidualność w historyi? Sama odrębność językowa tu nie wystarczy; jakie pierwiastki duchowe prócz papizmu, trwają jeszcze w tym nieszczęśliwym ludzie? A papiestwo, czy się z nami zgodzi Słowianin zachodni, czy nie, nie jest bynajmniej pierwiastkiem żywotwórczym, a przytem jest nieprzyjaznem narodowości. Zobaczmy, jak i teraz Kurya sprzeciwia się wprowadzeniu liturgii słowiańskiej wśród słowian katolików. Czegóż można spodziewać się po ludzie, którego całym pierwiastkiem moralnym, jaki mu pozostanie będzie to, żeby pozostać wiernym kościołowi rzymskiemu?"

A dalej:

„Prawda, że czesi w związku ze słowakami i polakami mogliby stworzyć z siebie wielką całość. Ale pomijając ucisk niemców, urzeczywistnienie takiego związku nie dopuści nigdy pycha polska, nieuznająca rodziny wszechsłowiańskiej; polak tak samo, jak madziar pożąda władzy a nie swobody; jeden i drugi jest ciemiężcą z natury, tak ich wykształciła historya. A czyż przytem możliwem jest bratnie zlanie się, które samo jedno mogłoby przywrócić szlachetnemu narodowi czeskiemu siłę polityczną godną jego?"

Nowoje Wremia, ganiąc prasę polską za nieodpowiednie przyjęcie ukazu o cudzoziemcach, podaje takie wyznanie jednego (niewymienionego) jej przedstawiciela:

„Ukaz wydany jest bynajmniej nie dlatego, aby uniknąć napływu niemców i nawet nie dlatego, aby ich ograniczyć w sposób poważniejszy, lecz tylko dlatego, iż rząd pragnął drobną ceną 250,000 morgów zadosyć uczynić opinii publicznej, a tymczasem sam otacza opieką przemysł niemiecki, gnieżdżący się u nas głównie po miastach, gdyż zupełne przemilczenie o jakichkolwiekbądź środkach przeciw cudzoziemcom, którymi przepełnione są nasze miasta, uświęca ich główną pozycyę ekonomiczną. Czyż istotnie pan nie wiesz — ciągnął mój interlokutor — że administracya tutejsza w osobie b. gubernatora piotrkowskiego wypiastowała projekt zamiany Sosnowca na miasto? Za swobodę działania w miastach niemcy zapłaciliby bardzo drogo, gdyby sami mogli wystarać się dla siebie o takie prawo. A zresztą, żeby owe 250,000 morgów przeszły w ręce naszych poddanych: trzeba przecież doczekać się naprzód, aby powymierali ich dzisiejsi właściciele.

— Nie, wierzaj mi pan, że z niemcami nie tak łatwo poradzić; jak widać, pracowali dla nich w Petersburgu ludzie silni i zręczni, a wynaleźli istotnie wyborny sposób na odwrócenie uwagi od istoty rzeczy. A panowie mówicie o tem, jako o zwycięztwie, was cieszą takie drobnostki."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zakaz. P. minister spraw wewnętrznych, po porozumieniu się z naczelnym prokuratorem synodu, zabronił zgromadzeniom włościańskim postanawiać o wyborze lub wydalaniu duchownych prawosławnych, o ich wynagradzaniu itd., co dotychczas robiono w wielu miejscowościach Cesarstwa.

Instytut rolniczo leśny w Nowej-Aleksandryi (Puławach) ulegnie reformie dopiero za dwa lata. Wydział leśny przeniesiony będzie do Petersburga, natomiast w Nowej-Aleksandryi utworzona będzie akademia rolnicza o 4 kursach i równocześnie niższa szkoła agronomiczna dla oficyalistów wiejskich. Wieść tę podaje *Kuryer warsz.*

Akademia sztuk pięknych w Petersburgu, zamiast nadawania tytułów profesorskich, będzie mianowała swych członków na akademików artystów klasy 1-ej, 2-ej i 3 ej. Stopnie te będą odpowiadały doktorowi, magistrowi, kandydatowi i rzeczywistemu studentowi danych nauk w uniwersytecie.

Sudiebnaja Gazeta donosi, że od przyszłego roku szkolnego nie będą przyjmowani nowi uczniowie do klasy 8-ej gimnazyów klasycznych.

Turniej szachowy odbywa się obecnie we Frankfurcie n. M. Dotychczas zwycięzcą jest Bardelebzn; Zuckertort należy do ostatnich. Gwiazda jego widocznie zachodzi.

Ulgi w służbie wojskowej ogłoszone zostały jako uzupełnienie ustawy. Od powołania z zapasu armii i do służby w rezerwie są wolni: pomocnicy dyrektorów okręgów pocztowo-telegraficznych, pocztmistrze i ich pomocnicy, zarządzający pocztami miejskiemi w Petersburgu, Moskwie i Warszawie, cenzorowie, zarządzający przewożeniem poczty na kolejach, ich pomocnicy i urzędnicy przeznaczeni do wyjazdów, naczelnicy kantorów pocztowo-telegraficznych wszelkich kategoryj, oraz ich pomocnicy, naczelnicy oddziałów telegraficznych, urzędnicy pocztowo-telegraficzni, odbiorcy stacyjni, nadzorcy na stacyach z odbiorem i wydawaniem korespondencyj, naczelnicy zarządów telegrafów miejskich w Petersburgu i Moskwie, tudzież naczelnik okręgu telegr. finlandzkiego, ich pomocnicy, naczelnicy stacyj telegraficznych, telegrafiści, mechanicy, nadzorcy i listowi.

Literatura. Sacher-Masoch utkał znowu z nitek głupoty i oszczerstwa łachman p. t. *Polnische Geschichten.* Jest to zbiór powiastek bzdurnych i bezcelnych, za co *Kuryer codz.* sprawia autorowi słoną kąpiel.

We Lwowie, z powodu zjazdu nauczycieli, wydano „Jednodniówkę pedagogiczną," w której p. Mekler pomieścił ciekawy dokument z 1821 r., zatytułowany *Das Buch der Schande* (Księga hańby). Zapisywano do niej złych uczniów, a pomiędzy innymi znajdują się nazwiska kilku za „bezustanne rozmawianie po polsku i tym podobne łotrowstwa." „Wszystko już było" — powiedziałby Akiba.

Bibliografia. K. F. Becker: *Historya powszechna*, zeszyty od 41 do 55.

— G. Hayek: *Wielki atlas* zoologii, botaniki i mineralogii. Zeszyty od 24 do 27.

— *Sprawozdanie* towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami oraz ich dziećmi w Warszawie. Rok 1885-6.

Medycyna ludowa. Dr. Julian Talko Hryniewicz ze Zwinogródka w gub. kijowskiej pracuje nad dziełem o medycynie ludowej na Ukrainie i prosi wszystkich autorów, których dzieła lub rękopisy zawierają wskazówki odpowiednie, oraz wiadomości o przesądach i wierzeniach przyrodniczych ludu ukraińskiego o dostarczenie mu tych materyałów.

Zwłoki Kolumba zostaną złożone w mieście jego rodzinnem, Genui. Okręt „Moteo-Brazza" wiezie już popioły odkrywcy Ameryki.

Pani Bławacka, znana teozofka, założyła w Londynie czasopismo p. t. *Lucyper*, poświęcone studyom nad duchem ciemności.

Hrabina Arconaci w Belgii zapisała na rzecz kraju dobra ziemskie Gacsbeck ze wspaniałym zamkiem. W testamencie zrobiono zastrzeżenie: gdyby Belgia utraciła niezależność polityczną na rzecz Niemiec, zapis traci swą moc i majątek wraca do sukcesorów. Gdyby zaś nastąpiła utrata niezależności na rzecz Francyi, zapis pozostaje w swej mocy.

Warsz. Dniewn pisze: „Naczelnik pow. radzyńskiego zajęty jest wykonaniem wydanego niedawno przez gubernatora siedleckiego rozporządzenia, ażeby wszystkim zgromadzeniom gminnym podano do wiadomości, że tak zwana drobna szlachta jest właściwie byłymi poddanymi lub innymi chłopami z różnych gubernij kraju tutejszego, oraz że zaliczający się do drobnej szlachty, powinni z tego powodu i teraz nazywać się chłopami. Jeżeli zaś i na przyszłość będą się tytułowali szlachcicami, nie złożywszy dokumentów o swem szlachectwie, wówczas podlegają za każdym razem karze pieniężnej przewidzianej przez prawo z d. 23 paźdz. (4 listop.) 1840 r. o tytułach rodowych w Królestwie Polskiem."

Rewolucya na wyspach Sandwich. Niezadowolona z rządów króla Kaladaua ludność Hawai podniosła wielki bunt niekrwawy i przemocą objęła ster rządów. Do rokoszan przyłączyli się strzelcy Honolulu. Król zgodził się na wszystko, co od niego żądano, oświadczył, iż pragnie tylko wespół z obywatelami zapewnić królestwu sławę, dobrobyt i rozwój. Wobec uległości woli narodu, pozostał przy tronie, a lud obrał nowe ministeryum.

Wynalazek W Quiney (Illinois) d. 5 b. m. irlandczyk Leeds odbywał próbę z wynalezionym przez siebie przyrządem do spadania z balonu. Z wysokości 5,000 stóp spuścił się na swoim „parasolu" na ziemię szczęśliwie. Wynalazca otrzymał natychmiast od zachwyconej publiczności 14,000 dolarów.

Kongres międzynarodowy w celu obradowania nad wynalezieniem najskuteczniejszych środków zapobiegawczych pożarom teatrów odbędzie się we wrześniu w Paryżu.

W Belgradzie studenci, młodzi subjekci kantorowi i terminatorowie urządzili „hecę" anti-niemiecką. Pozrzucali niemieckie szyldy, napisy itd. W restauracyach i kawiarniach wystąpili przeciw obcym śpiewakom i orkiestrom, pozdzierali ze ścian oleodruki „szwabskie." Policya musiała bagnetami rozpraszać wichrzycieli. Sporo jest ranionych.

Zapisy. Zmarły przed kilku laty sędzia b. sądu apelacyjnego, Fr. de Johne, zapisał na stypendyum dla uczniów gimnazyum w Płocku 5,000 rs.

— Bernard Kohen, kupiec warszawski, zapisał rs. 3,000 na rzecz ubogich uczniów szkół elementarnych wyznania mojżeszowego. P. minister wychowania publicznego oba zapisy zatwierdził.

Koleje żelazne. Ogólna długość linij kolejowych w państwie rosyjskiem do 1 stycznia r. b. wynosiła 26,692 wiorst. Następnie przybyło 1,268 wiorst przez zbudowanie dróg Poleskich i Zakaspijskiej. W r. b. budowane są następujące linie: z Homla do Brańska, z Pskowa do Rygi, z Rżewa do Wiaźmy, z Samary do Ufy. Długość tych linij razem wynosi 1,288 wiorst.

Silne trzęsienie ziemi z głuchym łoskotem podziemnym dało się uczuć d. 10 b. m. o godzinie 4 rano w Temeszwarze.

Największa linia kolejowa indyjska została ukończona. Nazywa się Sind-Sagarska, ma długości 560 kilometrów, wychodzi ze stacyi Gudźrat linii idącej z Delhi do Lahory i sięga do prawego brzegu Indusu,

następnie przebywa tę rzekę po wspaniałym moście o 17 arkadach i łączy się z główną linią dróg indyjskich. Kolej ta umożebnia szybką koncentracyę wojsk indyjskich w Afganistanie.

Posucha w Krymie. Piękne pobrzeże południowe Krymu przedstawia obecnie smutny widok. Z braku deszczu wszystko uschło; winorośl wyrosła zaledwie na pół łokcia, tytoń wcale nie rośnie, trawa zupełnie spalona.

Wybuch magazynu prochu w Taulud pod Massawą zniszczył znaczną część zapasów amunicyi, przygotowanych do kampanii jesiennej. Sprawcami wypadku byli abisyńczycy. Oprócz 7 osób zabitych, 50 otrzymało ciężkie rany.

Zawarcie konwencyi literackiej między Rosyą i Francyą na nowych podstawach ostatecznie nie przyjdzie do skutku.

W szkole weterynaryjnej w Warszawie opłata od uczniów wynosić będzie 25 rs. rocznie z przeznaczeniem tej sumy do funduszów specyalnych zakładu.

W Smolanach gub. wołyńskiej założono fabrykę grzebieni. Głównego majstra sprowadzono z Warszawy.

Zmarli. Michał Pavlinović, patryota chorwacki i literat. Ur. 1831 r. w Podgórzu w Dalmacyi. Jemu Dalmacya winna swoje odrodzenie umysłowe i wskrzeszenie nauk w języku ojczystym. Do r. 1860 tylko pomiędzy ludem wiejskim słyszano mowę chorwacką. Pierwszy Pavlinović, jako poseł na sejmach krajowych, zaczął przemawiać językiem chorwackim i domagać się dlań prawa obywatelstwa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. S. Dopóki zamiar usunięcia z kolei Nadwiślańskiej urzędników dawniej służących jest tylko pogłoską, występować przeciw niemu nie możemy. Sprawdzenie tej pogłoski trudne, gdyż ani dyrektora, ani prezesa niema w Warszawie. Wieść wszakże nie wydaje nam się prawdopodobną, bo fakt byłby zbyt oburzający.

A. B. C. w W. Obie te książki powinnyby Panu wystarczyć do zrozumienia dzieła Spencera. Alboż te tylko pytania możnaby mu zadać!

Czytelnikowi. 1) Mecherzyński, 2) Korzon i Dubiecki, 3) Scherr.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Sprostowanie. W „Odpowiedziach red." numeru poprzedniego zamiast: inwentarzów czyt. *cmentarzów*, zam. przesadzona — *przesądzona*. Nadto str. 357, szp. 2, w. 12 od dołu zam. muz, czyt. *mus*.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Іюля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.